AS



RADOŚĆ ŻYCIA — OTO CO CZYNI GWIAZDĘ FILMOWĄ JOAN BENNETT TAK MIŁĄ I PIĘKNĄ!

FOT. POLONSKY — HOLLYWOOD.

Nr. 32
9 SIERPNIA 1936 R.
CENA 40 GROSZY

LUDWIK MASCHOFF

U źródła genjalnych dzieł...

Możnaby powiedzieć, że słowo „natchnienie“ owiane jest jakimś tajemnym czarem. Kryje w sobie coś zagadkowego, niecodziennego, coś z pojęcia boskości. Natchnienie... Pojęcie to nasuwa wspomnienie nieśmiertelnych dzieł, i dotyczy tylko artystów twórczych. Jest niejako wyłączną ich własnością. Ale czem jest to natchnienie?

Do definicji dojść można dopiero po uwzględnieniu warunków, w ktorych artysta pracuje. Zasadniczo, możność pracy twórczej zależna jest od trzech warunków: 1) Stanu fizycznego, 2) stanu psychicznego i 3) oddziaływania otoczenia.

Trudno sobie wyobrazić, aby cierpiący fizycznie artysta, mógł swobodnie tworzyć. W mniejszym stopniu, ale również ujemnie na twórczość wpływa depresja duchowa. Wreszcie, gdy oba poprzednie stany byłyby zadawalające, to otoczenie (pośrednie lub bezpośrednie) może stać na przeszkodzie w pracy. Głośne rozmowy w tym samym lub przyległym pokoju, gra na fortepianie lub śpiew o piętro wyżej, funkcjonowanie radja lub reprodukowanie płyt gramofonowych i t. p., oto te ujemne wpływy otoczenia. Wśród takich warunków ani literat, ani kompozytor twórczo pracować nie potrafi, bo wpływy te nie pozwalają na skoncentrowanie myśli. Jeżeli chodzi o inne zewnętrzne warunki, to n. p. brak odpowiedniego światła dziennego i konieczność używania sztucznego, uniemożliwiają pracę malarzowi, podczas gdy dla literata lub kompozytora właśnie sztuczne światło może być pobudzeniem dla nerwów i fantazji.

Pobudzenie fantazji w czasie pracy mogą spowodować także inne czynniki zależne od indywidualnego usposobienia artysty. Pobudkami temi mogą być alkohol, wonie, kofeina, teina, nikotyna i tym podobne narkotyki. Rodin, Przybyszewski, Maks Reger albo Ludwik Schleich, tworzyli pod wpływem alkoholu. Ten sam Rodin ulegał zapachowi goździków, podczas, gdy w stan szczególnej potencji duchowej wprowadzał Schillera zapach przejrzałych jabłek, które miał stale w szufladzie swego biurka. Inni, jak n. p. Balzac, ulegają wpływowi światła sztucznego, wreszcie są tacy, którzy pracować mogą tylko pod działaniem środków uspakajających. Najmniejsze przyczyny mogą zmącić nastrój artysty, odbijając się fatalnie na jego stanie fizycznym i psychicznym, przyczyny, które dla nieartystów przeszłyby bez znaczenia. Zakrótki sen, w innym wypadku trochę alkoholu, trochę czarnej kawy, przykry widok na ulicy, jakaś pozornie obojętna wiadomość, chociażby wyczytana w gazecie, wszystko to działa miażdżąco na duszę twórcy, niweczy jego spokój psychiczny, czyni niezdolnym do pracy. Twórczość jednak wymaga „natchnienia“. Natchnienie możnaby uważać za wyjątkowy stan podniecenia psychicznego, powodującego szczególne wyczyny duchowe. Uwzględniając powyższe wywody, dochodzi się do definicji, że natchnienie j e s t s u m a r y c z n e m p o j ę c i e m n a j b a r d z i e j d l a a r t y s t y s p r z y j a j ą c y c h w a r u n k ó w d o p r a c y. Nie wynika stąd bynajmniej, że natchnienie musi bez przerwy towarzyszyć twórczej pracy artysty. Koncepcja, czyli narodzenie się tematu i jego realizacja nie zawsze następują bezpośrednio po sobie przy niezmienionym nastroju psychicznym. Zdarza się często, że znaleziony w szczęśliwej chwili temat, długo musi czekać na sprzyjające warunki, zanim zostanie zrealizowany. W gruncie rzeczy, koncepcja podlega



Ludwik van Beethoven, jeden z największych genjuszy świata.

natchnieniu, gdyż między pierwotnie powstałym planem, a jego ostatecznym wyglądem po opracowaniu, jest ogromna różnica. Temat powstaje u artysty w zarysach, które w czasie szczegółowego opracowywania przy silniejszem lub słabszem natchnieniu ulegają modyfikacji. O ile koncepcja powodowana jest przeważnie uczuciem, o tyle modyfikacja tematu przeprowadzona jest rozumowo, kierowana względami estetycznemi, podnoszącemi walory artystyczne.

Artysta pracując nie wie, co w następnej chwili będzie robił, nie wie, jakie napisze zdanie, lub jaki skonstruuje akord. Zna cel do którego zdąża tylko w ogólnych zarysach. Szczegóły występują niespodzianie w czasie pracy. To wychwytywanie szczególików i w miarę uznania podnoszenie ich do kwestyj dominujących, jest zależne od genjuszu artysty. Zarys dało mu już poprzednio uczucie, nie jest ono jednak alfą i omegą zdolności twórczych, ani gwarancją wartości artystycznych. Dopiero stosunek uczucia do umiejętności (technicznej możliwości przeprowadzenia swego pomysłu) nadaje artyście miarę jego wielkości. Schematycznie możnaby stosunek ten przedstawić następująco:

1. Nadmiar uczucia + brak umiejętności = dyletantyzm.
2. Brak uczucia + nadmiar umiejętności = wirtuozerja.
3. Równomierność uczucia i umiejętności = genjalność.

Do grupy pierwszej należą ludzie, którzy pod jakimś wpływem piszą prozą czy wierszami, bez wyczucia rytmu, rymu, piękna formy, estetyki i t. d. Malują bez znajomości rysunku i mięszania farb, komponują nie opierając się na zasadach harmonji i kontrapunktu. Osobników tych charakteryzuje niezdolność wypowiedzenia się przy nadmiarze tematu. Są to ludzie często bardzo twórczy, płodni, tematy ich utworów nie są pozbawione walorów, technika jednak wykonawcza nie stoi na odpowiednim poziomie artystycznym.

Twórczą pracę drugiej kategorji cechuje płytka błyskotliwość. Lekkość rymowania, nienaganna forma beztreściowego wiersza, malowanie bezdusznych postaci i martwych pejzaży, komponowanie oszałamiających technicznie warjacyj, pozostawiających u słuchacza wrażenie pustki, jak przewiew wiatru. Niezdolność wżycia się we własną twórczość ,przeżycia tematu, psychologicznego wgłębienia się i odczucia. Piękna forma dla formy.

W grupie znów trzeciej następuje zrównoważenie. Uczucie i umiejętność artystyczna (rzemiosło) idą tu w parze. Wzajemne uzupełnienie się, harmonijna współpraca duszy i wydoskonalonej techniki. Twórczość eksperymentalna — postęp — rozwój.

Rozwój w sztuce zawdzięcza się indywidualności i genjalności artystów. Dwie te podwaliny nie zawsze jednak idą w parze i warunkują się wzajemnie. Artysta o wybitnej indywidualności, może lecz nie musi być genjuszem (Hodler). Jedynie oryginalność oddania wrażeń jest jego zaletą. Z drugiej strony istnieją genjusze pozbawieni oryginalności (Mozart), skupiający w sobie najwyższą doskonałość umiejętności nabytej od poprzedników. Dopiero artysta łączący w sobie oryginalność z genjalnością — wzorowością, zapoczątkowują nową epokę. (Beethoven, Chopin, Wagner, Szekspir, Wyspiański), wszyscy inni idący jego śladami, są tylko mniej lub więcej udanymi naśladowcami. Bo coś, co samo w sobie jest skończenie doskonałe, nie może być w doskonałości prześcignięte.

Jedynie prace artysty dają nam możność poznania rozmiarów uczucia i umiejętności danego twórcy. Gdzie uczucie jest nikłe, a umiejętność mierna, tam i natchnienie będzie bezsilne. Dobra wola i szczera chęć nie wystarczają. Tylko wybitny talent wraz z indywidualnością, torują sobie drogę po palmę zwycięstwa i nieśmiertelność.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). - TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 32 | Niedziela 9 sierpnia 1936 | Rok II

ASY NUMERU 32-GO:



W sobotę 1. sierpnia rozpoczęły się w Berlinie XI. Igrzyska Olimpijskie, otwarte uroczyście przez kanclerza Hitlera. W zawodach bierze udział 51 narodów z wszystkich pięciu części świata. Polacy uzyskali dotychczas trzy srebrne medale i trzy bronzowe. W dziale sztuki zdobył srebrny medal rzeźbiarz Józef Klukowski, bronzowe otrzymali znakomity literat Jan Parandowski i znany grafik Józef Ostoja-Chrostowski. W konkurencjach czysto sportowych zdobyły dwa srebrne medale Jadwiga Wajsówna za drugie miejsce w rzucie dyskiem i Stanisława Walasiewiczówna za takież miejsce w biegu na 100 m. Ostatnia z trójki naszych pań, Marja Kwaśniewska, zdobyła bronzowy medal za trzecie miejsce w rzucie oszczepem. Na naszem zdjęciu Kwaśniewska w otoczeniu dwóch Niemek, z lewej Fleischer (złoty medal), z prawej Krüger (srebrny medal), które zajęły dwa pierwsze miejsca w rzucie oszczepem.

RYBY i GRZYBY, MLEKO i MIÓD



O przysmakach i specjałach polskich ziem.



Południowo-zachodnie górskie rzeki Polski obfitują w nader smaczne pstrągi.

Bardzo niesłusznie wrogowie nasi twierdzą, że mamy w Polsce... groch z kapustą: mamy u nas znacznie więcej dobrych rzeczy! Mamy przedewszystkiem świetne ryby (nietylko „grube“, ale też w rzekach i morzu), pierniki (również poza urzędami i naukowemi towarzystwami) mamy dalej świetne piwo, które sami sobie warzymy, sery, wędliny, owoce, wódki i wiele innych dobrych rzeczy. Nie chcę nikogo posądzać o sybarytyzm, ale twierdzę, że w przywiązaniu naszem do stron rodzinnych dużą rolę odgrywają te właśnie przysmaki, które łączą się w naszej pamięci z naszem dzieciństwem i wieloma epizodami naszego życia, dodając w ten sposób realnego „posmaku“ szczytnym uczuciom! Wszak to takie ludzkie: gdy Mickiewicz na bruku paryskim pędzi wygnańcze lata, z rozrzewnieniem wspominał potrawy swej ukochanej Litwy i nie możemy mu tego brać za złe.

Historja kulinarna Polski to jeden z rozdziałów jej wielkości. Podobnie jak na stołach Rzymian i u nas znaleźć można było przysmaki wschodu i zachodu, północy i południa. Łapy niedźwiedzie sąsiadowały z winami idącemi z ziem południowych, nad któremi słał się cień potęgi Rzeczpospolitej, obok chleba z mąki kujawskiej czy proszowskiej lub ukraińskiej, złocił się miodek wielkopolski, smakołyki pochodzące z Rusi, owoce kandyzowane, szły o lepsze z dziczyzną z litewskich borów. Ale i dziś choć granice nasze są szczuplejsze, znajdziemy wszystko czego zapragnie wytworne podniebienie.

Robiąc przegląd naszych zapasów gastronomicznych, nie możemy, rzecz prosta, wziąć pod uwagę wszystkiego. Będziemy się kontentować tylko temi przysmakami, które ogólnie są znane, i stały się niejako synonimem gastronomicznym tej miejscowości. Dodać trzeba, że wiele miast i dzielnic naszych konkurować może o lepsze ze sobą, wyrabiając podobne produkty, niemniej dobre, niemniej szlachetne.

Zacznijmy naszą wędrówkę od polskiego Morza i przejdźmy następnie do rzek naszych. Świetne węgorze, łososie, flondry, szprotki, w rzekach przednie pstrągi, oto asy naszej fauny morskiej i rzecznej. Na Pomorzu, warto zapamiętać Toruń od wieków fabrykuje on najlepsze pierniki, które niemniej go rozsławiły jak sam Mikołaj Kopernik! „Złota Woda“ gdańska cieszy się dawną sławą. W Wielkopolsce mnogość świetnych rzeczy: sam Poznań celuje w „świńskich no-





W kole: Kraków słynie z doskonałego pieczywa.



Poniżej: Specjalnością Poznania są „nogi wieprzowe“.







Na prawo: Niema lepszych wyrobów cukierniczych ponad warszawskie.

gach", mających licznych zwolenników, w dobrem piwie, w świetnej wędlinie. Dodam, że tradycyjnie w dniu św. Marcina wypieka się tak zwane „świńskie uszy", smaczne ciastko w postaci rurek. Kruszwica słynie nietylko z króla Popiela, którego zjadły myszy, ale również z win owocowych, któremi by go one „zapijały", gdyby wtedy istniało. Wina takie znajdziesz też w okolicach Leszna. Świetne bekony, eksportowane w szeroki świat, również wabią smakosza do Wielkopolski. Nie należy zapomnieć o konserwach jarzyn w Pudliszkach. Gdy przyjedziemy do Warszawy, uwagę naszą zwracają przedewszystkiem wspaniałe w smaku serdelki, ciastka, bezkonkurencyjne wyroby cukiernicze, czekoladowe, dobre piwo i pieczywo. Okolice dostarczają smacznych owoców. Jedźmy na południe: pierwsza stacja gastronomiczna Kraków: znane są szeroko krakowskie bułeczki, dawne „kajzerki", znane są też miody, wędliny kaszki, które z tych okolic są rodem. A przedewszystkiem piwo — Żywiec i Okocim! — Okolice bliższe i dalsze grodu wawelskiego też obftują w dobre rzeczy. Oto serki owcze z Zakopanego, oto wódki pierwszorzędne w Izdebniku, Dzikowie, bryndza wyborna. Każda naturalnie okolica ma swoje „specialité de la maison", o których tu trudno obszerniej pisać: można by na ten temat napisać dzieło, i to wcale ciekawe! Lwów, nasza kresowa stolica poważną gra rolę w tem królestwie smakoszów. Znane są jego konserwy mięsne, znane są też wschodnio-małopolskie barszcze małoruskie, świetne ciastka i cukierki. Lecz zajrzyjmy do naszego bratniego grodu — Wilna. Istnieją tam liczne przysmaki, nieco może egzotyczne, lecz niemniej dobre. Z doświadczenia mogę powiedzieć, że jedynie tam można zjeść jedyny w swoim rodzaju szaszłyk, przyrządzony z tem zrozumieniem, z tą „pieczołowitością", jaką spotykamy w Warszawie i Krakowie przy flaczkach! Któż nie słyszał o kołdunach, które należy jedząc liczyć? A kto o szynce z dzika? A wszystkie te bliny, kibiny, arkasy i inne frykasy! A grzyby litewskie najprzedniejsze w Polsce, a sery świetne! Chłodnik litewski, który należy „zakropić" odpowiednio! Lecz skoro mówimy o trunkach wspomnijmy Zaleszczyki, które wyprodukowały już swe pierwsze wina, a które szeroko i daleko znane są z wspaniałych owoców. I na wołowej skórze nie wypisać tych dobrych rzeczy, które nosi ziemia polska. A dzikie ptactwo na Pińszczyźnie, a liczna dziczyzna mieszkająca w wszystkich nieomal okolicach Polski? — Przypominają się mickiewiczowskie słowa: „Tu Wojski skończył opis i laską znak daje, i wnet zaczęli wchodzić parami lokaje, roznoszący potrawy: barszcz, królewskim zwany i rosół staropolski sztucznie gotowany. Taki rosół krew czyści i pokrzepia zdrowie. A dalej inne potrawy, a któż je wypowie..."

Tę symfonję polskich ziem wypowiedzieć może tylko nasze podniebienie! J.

Oto gastronomiczna mapa Polski uwidaczniająca z jakich przysmaków Ona słynie.



Poniżej: Podwórzec pałacu saskiego w Warszawie według sztychu z r. 1760.



dyplomaci KRÓLA jegomości

„Pacta sunt servanda" — oto pierwsza zasada, której ustalenie spowodowało rozwinięcie się prawa międzynarodowego, a dalej — stałych stosunków dyplomatycznych między państwami. Zanim doszło do stworzenia stałych placówek dyplomatycznych i konsularnych, „Ius gentium" przechodzić musiało przez liczne fazy rozwoju, a ad hoc wysyłane delegacje zaczęły być stałą instytucją. Już za najdawniejszych czasów spotykamy się z wysyłaniem posłów w starożytnej Persji, Grecji, Rzymie, Assyrji. Im więcej stosunki międzynarodowe wymagały uwagi tem bardziej, rzecz oczywista, stały kontakt dyplomatyczny stawał się koniecznością.

Jeżeli dziś, w pełnym XX wieku niejednego laika razić mogą ceremonjały dyplomatyczne, jeżeli nieraz słyszy się krytykę tych „przeżytków", to trzeba sobie uprzytomnić, że poseł czy ambasador reprezentuje swoje państwo, i eo ipso otoczony być musi honorami, jakie przysługują jego ojczyźnie. Oczywiście, że duża część dyplomacji czasów ubiegłych polegała na obserwowaniu ceremonjału, na sporach prawnych i historycznych nad kolejnością zasiadania przy zielonym, a nawet poprostu biesiadnym stole, że dochodziło do krwawych nieraz utarczek między służbą jednego dyplomaty i drugiego na tle precedencji, ale te wszystkie śmiesznostki wydadzą się nam zrozumialszemi, gdy przypomnimy sobie, że poseł poza swą właściwą misją musi zwracać uwagę również na stronę zewnętrzną. Jeżeli chodzi o takie epizody protokolarne, to dosyć wspomnieć, że podczas negocjacji przed pokojem sztumdorfskim (1635) między posłami Anglji, Francji, Holandji i Brandenburgji doszło do żywych sprzeczek przy podpisywaniu zawieszenia broni o precedencję, co spowodowało nietylko utarczkę słowną, ale nawet zbrojną! Innym znów razem, za panowania króla Jana III, ambasador francuski p. de Vitry skarżył się, że gdy zjawia się w pałacu w Jaworowie podczas gdy rodzina królewska znajduje się przy stole, gra w karty czy rozmawia, nigdy nie zaprasza się go do zajęcia miejsca, podczas gdy przywilej ten przysługiwał jego poprzednikom. Dwór polski przez usta ks. Załuskiego oświadczył, że jest to jedynie łaską, ale bynajmniej nie prawem ambasadorów francuskich, od tej chwili markiz zjawiał się na dworze tylko wtedy, kiedy Ich Królewskie Moście przyjmowały gości stojąco. Podobny incydent protokólarny zdarzył się podczas urzędowania ambasadora francuskiego margrabiego de Sainte Croix, za panowania Stanisława Augusta. Złożywszy w imieniu swego króla prymasowi Polski, ks. Michałowi Poniatowskiemu, bratu króla, na specjalnej audjencji, list odręczny swego monarchy, czekał daremnie na rewizytę. Gdy zapytał o powód, oświadczono mu, że prymas nie składa wizyt posłom. De Sainte Croix jednak przytoczył, że prymas odwiedzał posła hiszpańskiego p. de Cuber, na co mu oświadczono, że nastąpiło to z tytułu przyjaźni osobistej i prywatnie. Poseł zakomunikował cały incydent swemu rządowi a w kopji listu posłanej samemu księciu prymasowi, odmówił mu przysługującego tytułu wysokości!

Oczywiście, że największą pieczą protokółu cieszył się zdawien dawna ceremonjał wręczenia listów uwierzytelniających posła czy ambasadora przy osobie króla. Ceremonjał ten wyrabiał się od wieków, aż skostniał w pewnych stałych formach.

Mamy ciekawą relację o takiej uroczystości z r. 1578 z okazji przyjazdu nowego nuncjusza papieskiego mgr Caligari na dwór króla Stefana. Wręczenie listów odbyło się w historycznych murach Wawelu, które ostatnio gościły ziomka jego, ambasadora królestwa Włoch, bar. Arone di Valentino. Nuncjusz znalazłszy się w obecności monarchy wygłosił długą mowę łacińską, trzymając przez cały czas beret w ręku. Protestanci obecni przy przyjęciu zauważyli z niezadowoleniem, że król podczas przemówienia nuncjusza, nie miał na głowie kapelusza, podczas gdy zwyczaj przepisywał, aby król miał głowę nakrytą. Zapewne król Stefan uczynił to dla podkreślenia swego szacunku dla nuncjusza, oraz Stolicy Apostolskiej, fakt ten jednak zdecydował na przyszłość o tem, iż podczas przyjmowania listów od nuncjuszów król nie nakrywał głowy. — Mówiąc o ceremonjale dyplomatycznym warto wspomnieć o tem, że ambasador przyjmowany przez króla czynił trzy głębokie przed nim ukłony, na co król odpowiadał uchylając raz kapelusza. Przemówienia odbywały się po łacinie, król nie odpowiadał sam, lecz przez usta kanclerza. Czasem używano języka włoskiego, n. p. ambasador francuski hr. d'Avaux, gdyż król Władysław IV. znał dobrze ten język, inni znów posłowie francuscy, np. de Rorté w r. 1637 i d'Avaugourd 1641 poczęli wprowadzać język francuski, przeplatając łaciną. Dopiero w wieku XVIII. język francuski miał stać się językiem dyplomatów par excellence.



Sala poselska na Wawelu, w której odbywały się uroczystości dyplomatyczne.



Fikcyjne przedstawienie audjencji Jerzego Ossolińskiego u papieża i monarchów Europy. Z dzieła Dantyszka „Orationes" 1648.



Jerzy z Tenczyna, ks. Ossoliński, wielki poseł Rzeczypospolitej do Rzymu.

W ogólnych zarysach ceremonjał pozostał takim, jakim był przed wiekami, przed audjencją natomiast stosowano następujące formy: Ambasadora przywoził karetą królewską zazwyczaj jeden z dostojników dworskich do zamku, poczem witany u wejścia przez kilku dworzan zostaje on przeprowadzony aż do wielkiej sieni, gdzie trzech szambelanów go oczekuje. Wszyscy udają się następnie do wielkiej sali jadalnej, gdzie dołącza się do pochodu kilku oficerów króla. W następnej sieni witają go obaj podkomorzowie, wielki koronny i wielki litewski, poczem podkomorzy koronny idzie zameldować go królowi. W sieni poprzedzającej salę audjencyjną posła wita marszałek dworu i obaj poprzedzają go aż do drzwi sali audjencyjnej, niosąc w ręku

laski marszałkowskie. Do sali tej wchodzi poza posłem tylko wielki podkomorzy korony. Król, znajdujący się w sali postępuje trzy kroki naprzeciw ambasadorowi a obaj, król i poseł, są bez kapeluszy. Następnie król zasiada na swym fotelu, nakrywszy głowę, poseł siada naprzeciwko króla również na fotelu. Ceremonjał zważał na to, aby nogi fotela dotykały dużego dywanu, zajmującego środek sali. Audjencja trwa kwadrans, poczem posła odprowadzają dygnitarze dworscy z tym samym ceremonjałem do jego pałacu. Oczywiście, że wojsko, znajdujące się na dziedzińcu prezentuje broń, a oficerowie szpadę. Tak opiewa oficjalny program obserwowany w r. 1746 przy audjencji markiza des Issarts.

Za czasów Rzeczypospolitej posłowie zagraniczni nie mieli stałych siedzib ani w Warszawie ani w Krakowie. Często korzystali z uprzejmości polskich magnatów: np. ambasada francuska za Jana III. mieściła się w pałacu Radziejowskich, na Krakowskiem Przedmieściu.

Wielką rolę grają w ówczesnej dyplomacji, dziś mało zrozumiałe, kwestje tytulatury. Jak wiemy przez wiele lat ciągnęła się sprawa tytułu króla szwedzkiego, noszonego przez naszych monarchów z domu Wazów, a również i z Moskwą zachodziły podobne scysje na tle tytulatury. Gdy w r. 1701, elektor brandenburski przyjął tytuł króla Prus, poseł jego baron v. Hoverbeck miał wiele trudności. aby skłonić Augusta II. do uznania nowego tytułu, gdyż król polski lekceważył samozwańczy „awans" sąsiada.

Dyplomacja reprezentowana była w przeszłości bardzo często przez Włochów, cieszących się naówczas opinją zdolnych polityków. Również i Polska korzystała z ich usług bardzo często. Korpus dyplomatyczny składał się w Warszawie w końcu XVIII. w. (1791) r. z posłów: Anglji, którym był de Hailes, Danji — Edmund de Bourke, Hiszpanji — Normandez, Suwerennego Zakonu św. Jana Jerozolimskiego — Maisonneuve de Crény, Stolicy Apostolskiej, Ferdynanda Saluzzo. ks. di Corigliano, arcyb Kartaginy, Prus — markiza de Lucchesini, Rosji — Jakóba Bułhakowa. Saksonji — Fr. v. Essen, Szwecji — br. d'Engeström, Państwa Rzymskiego — de Caché, będącego tylko chargé des Affaires. Z naszej znów strony mieliśmy wtedy następujących posłów — w Wiedniu: Franciszka Xawerego Woynę, w Konstantynopolu: Piotra Potockiego, star. szczerzeckiego, w Berlinie: Stanisława ks. Jabłonowskiego, gen. maj. w. kor., Paryżu: Felixa Oraczewskiego, Londynie: Franciszka Bukatego, Dreźnie: Jana Małachowskiego, star. opoczyńskiego, Sztokholmie: Jerzego Potockiego, star. tłumackiego, w końcu w Hadze: Michała ks. Ogińskiego, miecznika Lit., w Madrycie: Tadeusza Morskiego, kasztelana lwowskiego, w Rzymie: Tomasza Antici, kardynała, w Petersburgu: Augusta Debolego, chor. nadw. kor. i w Kopenhadze: Antoniego Kochanowskiego.



Jan III w Jaworowie w otoczeniu swych dworzan i dyplomatów. Po lewej króla ambasador cesarski.

Do wielkich rzadkości, oczywiście, należało spełnianie funkcji posła przez kobietę. I dziś pomimo emancypacji na wielu polach, znamy zaledwie kilka wypadków tego rodzaju, a przedewszystkiem posłankę Z. S. R. R. p. Kołłontaj, następnie zaś p. Ruth Bryan-Owen, posłankę U. S. A. przy dworze duńskim. Gdy król Władysław IV. postanowił zaślubić córkę adoptowaną, królowej francuskiej, Marję de Gonzague, która następnie zmieniła swe imię na Ludwikę, młodej królowej towarzyszyła jako ambasador nadzwyczajny pani marszałkowa de Guébriant, Renée du Bec, chociaż w tymże czasie Francja miała w Warszawie swego ambasadora w osobie Mikołaja hr. de Brégy. Była to jednak okoliczność zupełnie wyjątkowa.



Fragment zamku królewskiego w Warszawie wraz z kolumną króla Zygmunta III.

Dawni polscy dyplomaci wzbudzali wszędzie zagranicą nietylko podziw dla swego bogatego wystąpienia, jak np. wielki poseł do Rzymu Jerzy Ossoliński (1633), którego orszak gubi przysłowiowe złote podkowy, ale również swą swadą, znajomością łaciny i... hardością! Nic zresztą dziwnego: wszak Polska XVI. a XVII. wieku była mocarstwem, którego posłowie musieli również zewnętrznie dawać wyobrażenie o wielkości swej ojczyzny i wspaniałomyślności swego monarchy!

Jan Maleszewski.



Fragment sali tronowej na zamku warszawskim. Fotel królewski pochodzi z czasów Stanisława Augusta.



Antoni Ireneusz de Voyer, markiz de Paulmy, poseł francuski przy dworze polskim r. 1760 — 1764.



Klaudjusz de Mesmes, hr. d'Avaux ambasador francuski przy dworze polskim r. 1635.



KOBIETA I KWIATY...

Urocza gwiazda ekranu June Knight.

Fot. Polonsky — Hollywood.

FRYZJER

HUMORESKA

WITOLD ZECHENTER

NOWELA

Działo się to wszystko w małem miasteczku Karczewo, poczta w miejscu, telegraf w miejscu, stacja kolejowa (patyczkowa) w miejscu, powiat Chudole.

My, ludzie wielkich stołecznych miast, na określenie całokształtu życia i bycia takich miasteczek mamy już stare, utarte terminy. Mówimy „świat zabity deskami", albo „zapadła prowincja", albo poprostu „nuda"...

Zapominamy, że miasteczko takie, chociaż zabite deskami, chociaż jest zapadłą prowincją, chociaż z jego bladozielonych ogródków, schludnych domeczków i pustych uliczek, po których wałęsają się psy w dobrych lub złych zamiarach i ludzie najczęściej bez zamiarów, zieje śmiertelna nuda, zapominamy, że miasteczko takie ma jednak swoje życie równie jak nasze, wielkomiejskie, pełne szczęścia lub tragedyj, zdarzeń, katastrof, wypadków. Inna rzecz, że to, co u nas nie zwróciłoby najmniejszej uwagi, w takiem Karczewie powiatu chudolskiego wyrasta do rozmiaru odkrycia Ameryki a przynajmniej jajka Kolumba. Pan sędzia naprzykład pośliznął się, bez przenośni, i upadł na kamiennej posadzce sionki w „gmachu sądowym". Upadł i potłukł się trochę. U nas w wielkich miastach któżby o tem wiedział, a nawet wiedząc zainteresował się? Tymczasem w Karczewie wszyscy byli zainteresowani przez kilka dni i nocy i wszyscy byli mu wdzięczni, że dał im temat do rozmów, że coś się stało...

I tak jest zawsze. Najmniejsze zdarzenie urasta do rozmiarów katastrofy. Dlatego proszę w imieniu fryzjera Aleksego Ponurego, rodem i zamieszkałego w Karczewie, byście jego tragedję, którą tu opiszę, wzięli do serca, a nie zbagatelizowali i równym zapałali gniewem do jego nieuczciwego konkurenta, fryzjera Filipa Humoreski. I żebyście pamiętali, że tragedja ta powstała w Karczewie, tęskniącym w nudzie do jakiejkolwiek iluzji, któraby szare życie urozmaiciła, przydając choć trochę fantazji...

A było to tak...

Fryzjer Aleksy Ponury, człek stateczny, tuszy niepośledniej, od niepamiętnych czasów miał piękny zakład „golenia, strzyżenia i układania włosów" przy głównej arterji życia miasteczka Karczewo. Zakład był naprawdę piękny. Lśniąca jak drugie słońce miednica dyndała się na wietrze, wewnątrz cztery fotele, cztery lustra... Prawdziwie europejski zakład. Równomiernie do swych zalet, cieszył się zakład pana Ponurego wielkiem powodzeniem. Inna rzecz, że to był jedyny zakład fryzjerski w miasteczku...

Opływając w dostatki, żył sobie pan Ponury wesoło i szczęśliwie. Aż nagle — grom z jasnego uderzył nieba. Naprzeciw, tuż naprzeciw lokalu pana Ponurego był sobie sklepik — mąka, świece, nafta, zeszyty szkolne, pasta do butów, masło. Właściciel sklepu sprzedał lokal i przeprowadził się do większego, który nazwał „Bazarem paryskim". Lokal wynajął niejaki Filip Humoreska, od niedawna zamieszkały w miasteczku, żyjący niewiadomo z czego, mały, chudy, przymilny, wesoły.

I nagle — pewnego ranka — piorun! Aleksy Ponury otwiera swój sklep i wzrok jego pada na duży, piękny szyld naprzeciwko: „Fryzjer Filip Humoreska".

Nie zaraz uwierzył oczom. Aż wreszcie uwierzył. Konkurencja!

Przez parę tygodni Ponury szalał — z radości. Zakład jego konkurenta świecił pustką. Wszyscy po staremu chodzili do znanego zakładu, nikt nie bywał u Humoreski.

Ale powoli Humoreska coraz rzadziej wystawał w progu sklepu. Gości Ponuremu zaczęło ubywać, niespostrzeżenie konkurencyjny zakład zaczął się zapełniać... Spostrzegł to wreszcie Ponury, robił co mógł, aby nie tracić klienteli, ale nic nie pomagało. Z tygodnia na tydzień spostrzegał Ponury ubywanie starych klientów. Humoreska przyjął pomocnika, którego właśnie Ponury odprawił. Zaczęła się tragedja...

Wkońcu Ponuremu zostało kilku zaledwie klientów. Między innymi burmistrz.

— Ten mnie nigdy nie opuści — wzdychał Ponury. — Ale wszyscy inni?

Zastanawiało go to tylko, co robił Humoreska, że potrafił tak mu odciągnąć klientelę. Nie mógł się dowiedzieć od nikogo tajemnic zakładu Humoreski, gdyż dawni jego klienci unikali go obecnie wstydliwie, a z samym Humoreską oczywiście nie zamieniłby ani jednego słowa.

Los dopomógł mu w tem. Przyjechał do Ponurego w odwiedziny dawny jego kolega z ław szkolnych szkoły powszechnej. Zgodził się pójść do Humoreski i wywąchać wszystko. Poszedł i wrócił. Opowiedział wszystko — a Ponury zbladł.

— A to łotr! — syknął.

— Spryciarz — rzekł kolega.

— Łajdak! — syczał Ponury.

Zaczęli się naradzać.

Na drugi dzień po ogoleniu pana burmistrza rzekł do niego Ponury:

— Szanowny panie burmistrzu dobrodzieju. Na ręce pana burmistrza dobrodzieja wpłynie jutro drogą urzędową moje pismo w bardzo ważnej sprawie.

— Cóż takiego? — zdziwił się burmistrz.

— Drogą urzędową — do urzędowego załatwienia — odrzekł Ponury z godnością.

Na drugi dzień burmistrz otrzymał istotnie pismo pana Ponurego. Brzmiało ono następująco:

„Do psześwietnego Magistratu miasta Karczewo, pow. Chudole.

Psześwietny Magistracie!

Nirzej potpisany Aleksy Ponury mistrz cehu fryzjerskiego zanosi nast. pet.".

Dla objaśnienia dodać należy, że petycję tę dyktował Ponuremu jego kolega, który uważał, że wszelkie skróty nadają „dobry ton" pismu urzędowemu. „Nast. pet." znaczy naturalnie „następującą petycję".

„Wdobrze mój prosperujoncy zakł. fr. wsadził się konkurent, nijaki na przeciw. Ale to nic. Karzdy maprawo rzyć jeśli tylko dobrze. i, uczciwie pracuje. Ale pan Fil. Humoreska uczciwie niepracuje. Zwabia on klijentów dosiebie, nieuczciwem. drogami. Podstawiony przeze mnie mój znajomy zbadał i, stwierdził tę nieuczciw. Przyszedł się ogolić.



Ma on łysinę. Filip Hum. gdy go ogolił wzioł gżebień i szczotkę i zaczoł czesać. Mój znajomy rzekł przecież niemaco czesać mam łysinę to nic otpowiedział, Fil. Humoreska. Ma pan pżecierz jeszcze durzo włosów na głowie. morzna fryzurke zrobić jaksię patrzy. To zwróciło uwagę bystrego znajomego mego zauwarzył rze taksamo postąpił z inn. To był poczmistsz łysy jak kolano, jak pan burmistrz naprzykl. i rzekł on do Hum. ten Ponury to mi nigdy głowy nie tykał. a pan to czesze ładną fryzurke. A hum. mu pszytakiwał. Potem zaś zde moralizowany zost. młody hłopiec syn organ. Humoreska zaczął go golić co biedny chłopczyna pszyjoł z rad. i dumą. Wykazało się wienc rze Humor. nieuczciw. konkurruje zemną dlatego to podanie wnoszę i o ostszygniencie (przekreślone) rostszygniencie proszę.

Nirzej potpisany Aleksy Ponury fryz. m. Karczewo".

Na drugi dzień Ponury wstał w dobrym humorze. Skończy się nabieranie Pana Humoreski, który oczywiście, że musiał sobie wyrobić klientelę wmawianiem w łysych fryzury, a w dzieci zarostu. Ponury robił zawsze tylko to, że było potrzeba, na parę włosków na łysinie nie zwracając najmniejszej uwagi!

Stanął w drzwiach lokalu. Ujrzał — burmistrz idzie! Zbliża się. Co? Przechodzi na drugą stronę? Nie odpowiada na ukłon? Co??? Wszedł do lokalu Humoreski?

Ponurego jakby sparaliżowało. Długa chwila minęła, nim oprzytomniał na tyle, by przebiec ulicę i stanąć w progu zakładu konkurenta. Ujrzał — burmistrz siedział w lichem krzesełku z wniebowziętą miną — a Humoreska — nie, to zbyt okropne! — Humoreska czesał grzebieniem z najpoważniejszym w świecie wyrazem twarzy jego trzy włoski na łysinie!

Wkrótce potem Aleksy Ponury zwinął zakład i zniknął z miasteczka.

Filip Humoreska stał się bogaczem. Ożenił się.

— Jesteś artystą w swym fachu — rzekła mu raz młoda żona, która ceniła górnolotne zwroty.

— Nie — odrzekł Humoreska — ja tylko daję złudzenia — a ludzie to lubią...

REZYGNACJA

NADZIEJA DRUCKA

FRAGMENT

Przyszli do siebie z bardzo daleka. Bo każdy ze swego własnego życia. Z lat długich, treścią szaloną nabrzmiałych, pełnych.

Gdy ręce ich splotły się w tańcu, nie wiedzieli o sobie nic. Może tyle, że razem jest lepiej. Lepiej niż wczoraj w dniu przeraźliwie pustym, a dla niego nawet tragicznym, bo dowiedział się, że... Lina, Linette, piękna baronowa, wyjechała do Davos.

Wsiadła do pociągu bez niego. Miała bilet, którego już jej nie załatwiał, jadła cukierki, których nie zamawiał u Wedla, czekoladki z miętą. Nogi otuliła pledem sama, a może nie sama?

— Pan wygląda zmęczony?

— Bo też nim jestem.

— Może nie chce pan tańczyć?

— Chcę. Pani ma takie ciepłe ciało.

— Gorąco...

— I jest pani kobietą, bardzo kobietą...

— Już się nią nie czuję.

— Jest pani młoda.

— Kobietą jest się dla kogoś!

— Może pani nią być dla mnie. Ale dlaczego ten bolesny grymas?

— Jest mi potwornie źle.

— Komu jest dobrze? Wszyscy jednakowo męczymy się i gonimy za uciekającem szczęściem.

— Niema go nigdzie!

— Gorzej jeśli się wierzy, że gdzieś jest.

— Niech pan mi powie jedno dobre słowo.

— Pogubiłem je wszystkie, śpiesząc się, biegnąc bez tchu przez życie. Mówiłem, krzyczałem, szeptałem same dobre, najlepsze słowa...

— Jaka szkoda, że nie zostało dla mnie żadnego.

— Chciałbym panią pokochać.

Ramię jej drży. Od karminowanych paznokci, aż po białą szyję, wynurzającą się z różowej gazy.

Tak powiedział jej kiedyś Marek. Wielki, dobry, mądry. Wtedy jeszcze nie należał do niej! A potem słowa stały się prawdą, chcenie czynem, spojrzenie pocałunkiem, trwoga radością, pytanie odpowiedzią, pewnością, dniem każdym. Powiedział tak samo. — „Chciałbym panią pokochać".

Drżą jak motyle spłoszone białe długie ramiona na tle czarnego fraka.

— Nie trzeba, nie wolno by się coś powtarzało. Prawda?

— O tak, nie trzeba.

— Gdy patrzę w pana oczy, tyle tam wiedzy cierpienia, że aż boję się o pana.

— Pani wielu rzeczy się boi. Wszystkie nerwy ma pani na wierzchu, obnażone —

— Całe szczęście, że nerwy, to nie dusza.

Włożyła dziś różową sukienkę, by przestać raz tkwić w żałobie po największej, tej jednej która się liczy, miłości. Nie chce już cierpieć. Brzydzi się cierpieniem. Och, gdyby już nie żył! Gdyby nie było go nigdzie, na żadnem miejscu na świecie. Ale jest, jest. Tam, w swojem własnem mieszkaniu, obok żony, własnej, codziennej, najpotrzebniejszej. Żyje. Pali papierosy, któremi ją zawsze częstował. I sygnet ma ten sam, na rubinie rżnięty. A gdy mówi, porusza, dużemi, białemi rękami, a włosy odrzuca do tyłu kapryśnym, dziecinnym ruchem. Cały jest taki znany, „umiany na pamięć" i... już nigdy nie będzie bliski.

Pyta w rozpaczy:

— Czy mogę się jeszcze podobać?

— Pani mnie się już podoba!

Wyręcza go forma, łatwość kłamania...

Pani w różowej sukni przytula się do tancerza i myśli, że nie jest tak duży jak Marek i że nie można tak pewnie się oprzeć na jego ramieniu.

A on?

Baronowa, Lina miała swój własny niepowtarzalny zapach ciemnej skóry i jej jednej znanej mieszaniny perfum, ta pani używa poprostu „l'Origan".

Tańczą, i chodzą, i piją, i patrzą sobie w oczy i myślą o tamtych zgubionych minionych, kochanych i znów tańczą razem.

Nie wiedzą o sobie nic. Przyszli do siebie po łaskę zapomnienia.

Ręce ich są zimne i gorące na przemian.

...Linette gdzieś jedzie.

...Czy Marek teraz śpi?

— Odwiozę cię do domu. Nie mów nic, przytul się do mnie. Jesteś jak mimoza, nie powinienem cię dotykać.

— Nie żądam nic, bo nic dać nie mogę. Jesteśmy oboje tacy ubodzy.

Zmysły leciutko grają, łudzą, obiecują. Ach tak, obiecują.

— Daj usta!

Całuje jego ręce. Czyniła tak kiedyś z Markiem. Z czułości bez granic, zapamiętałego oddania, pokory — — —

Ręce są takie inne. Maleńkie, słabe i bez obrączki, którą się gryzło dla zabawy drżącemi zębami.

Usta pani w różowej sukni nie mają słonego smaku morza i świeżości ust Liny, Lineczki, Linette.

— Niech mnie pan posłucha. Minęliśmy się na skrzyżowaniu dwóch ulic, jednego szarego, smutnego dnia. Za uśmiech, którym mnie pan obdarzył, dziękuję i za słowa, chociaż nie prawdziwe, ale ładne — też dziękuję.

— Jest pani niezwykle miłą kobietą. Ale sądzę, że już nie będziemy siebie szukać.

— O tak, nie trzeba.

Łaska zapomnienia nie nadeszła.

Przyszli do siebie zdaleka, by odejść na zawsze w życie własne, już nie wypełnione jak kiedyś treścią szaloną, lecz treścią najważniejszą dnia powszedniego i treścią cierpienia niespopielonych jeszcze wczorajszych uczuć i mąk.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Pomimo kanikuły drukarnie ministerstw pocztowych nie przestają obdarzać filatelistów coraz to nowemi znaczkami dobroczynnemi i okazyjnemi, tak więc rekord ostatnich czasów dzierżą Niemcy, którzy do 42 fenigowej „Braune Post" doliczają aż 1 m 8 fen. tak, że cena bloczka, wydanego zresztą w znikomej liczbie egzemplarzy jest na kryzysowe czasy grubo przesolona.

Mimo, że znaczki austrjackie po 2 szylingi nigdy nie były dotąd pospolite, serja bieżąca została uzupełniona jeszcze wyższemi wartościami za 3, 5 i 10 szylingów (ten ostatni z portretem Dollfusa). Zdaje się, że będą one równie często używane, jak nasza 3-złotówka, której dotąd nie widzieliśmy jeszcze kasowanej na jakiejkolwiek przesyłce.

Gdańsk, a raczej miejscowość kąpielowa Brösen chciała się przedstawić światu — i udało się jej to przy pomocy serji z trzech marek formatu á la „Winterhilfe": 10 fen. c. zielony, 25 f. karminowy, 40 f. niebieski; przedstawiają one widoki plaży w Brösen i jakąś statuę, wzniesioną na pamiątkę 125 (!)-lecia.

Notujemy jeszcze cały szereg dalszych nowości, a więc: w Estonji klasztor św. Brygidy widnieje na serji z 5 sztuk za 5, 10, 15 i 25 s.; we Francji głodne dzieci będą miały co jeść (?), bo napewno zbieracze (tylko oni właśnie!), będą kupować znaczki dobroczynne za 50 + 10 cen, a także tragiczny wyczyn Pilâtre de Rozier'a, który 150 lat temu chciał przelecieć kanał La Manche balonem i zginął śmiercią lotnika, doczekał się upamiętnienia.

Jeszcze Jugosławja, Kuba, Rumunja i Watykan dały się w ostatnich czasach we znaki kieszeniom zbieraczy niestemplowanych nowości, ale o tem innym razem...

W. H.



Czy podoba się państwu nowy znaczek niemiecki? — nam nie!

Dr. WŁ. J. DOBROWOLSKI

TWARZ I MASKA

W codziennem życiu, na skutek różnorodnych przemian, jakim podlegamy, zatraciło się pierwotne znaczenie, jakie miała dla człowieka gra mimiczna twarzy, a przedewszystkiem jej wyraz nieruchomy uosabiany w maskach. Twarz ludzka była zawsze tem zwierciadłem, w którem odbijał się wewnętrzny stan człowieka. Wyrażała ona zarówno uczucia harmoniczne (miłe) i nieharmoniczne (nie miłe). Zależnie od siły różnorodnych wrażeń i przeżyć i szybkości z jaką zachodziły one w człowieku, mimika twarzy ludzkiej była mniej lub więcej wyrazistą.



Na lewo: Murzyńska maska z kości słoniowej z belgijskiego Konga (z dzieła „Formes" nr. 3, 1930).



Starogrecka maska ze złotej blaszki znaleziona w Mykene.

Pierwotny człowiek czytał daleko lepiej niż człowiek współczesny w twarzy swego współplemieńca nietylko jego uczucia, ale chęci i zamiary. Sama mimika twarzy wystarczała nieraz do wzajemnego porozumienia się. Składały się na to dwa powody: przedewszystkiem daleko większa siła wewnętrzna człowieka żyjącego w stanie pierwotnym, opierająca się na bezpośredniości i wielkiej sile jego przeżyć, a następnie drugim czynnikiem był większy dar obserwacji notującej każde najdrobniejsze drgnięcia skóry, które uszłoby całkowicie uwagi człowieka tzw. „cywilizowanego".

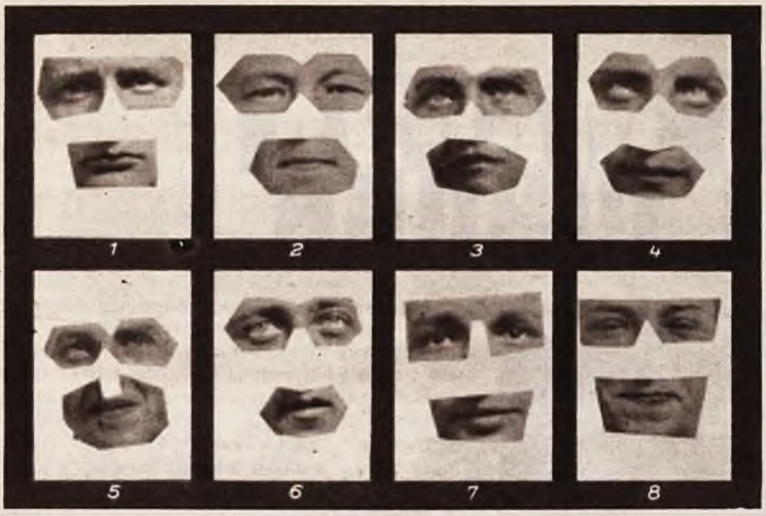
Prymityw widział poza temi poruszeniami twarzy ludzkiej lub chwilowym stałym wyrazem tzw. „miną", jakąś inną istotę mieszkającą w człowieku będącą nim, a jednocześnie czemś innem. W miarę różnorodnych wyrazów twarzy ilość tych istot przebywających w człowieku rosła w wyobraźni prymitywa, z drugiej strony znów widział on szczególne pokrewieństwa między ludźmi swego plemienia, a zwierzętami, roślinami i różnemi zjawiskami przyrody. Szukał więc tych podobieństw z danem zwierzęciem, rośliną lub zjawiskiem żywiołowem w wyrazie twarzy — swoim i swoich współziomków. Z chwilą, gdy odkrywał pewne, może całkiem iluzyjne podobieństwa, podkreślał je barwą i rysunkiem wykonanym na twarzy. Czasem znów, chcąc się jeszcze bardziej zidentyfikować z danym wytworem wyobraźni, wytwarzał maskę przedstawiającą jego magiczne pokrewieństwa z poszczególnemi istotami lub wydarzeniami zachodzącemi w przyrodzie. Maska więc oznaczała to co najistotniejszego kryje się w człowieku, tajemne siły działające przez niego. Maska była symbolem magicznym, źródłem tajemniczych przemian. Człowiek przybierający ją stawał się jednocześnie i całkowicie osobą wyobrażaną przez maskę. Ta wielka waga, którą przywiązywano, i którą przywiązują do tej chwili plemiona pierwotne do maski lub jej zastępstwa — tatuażu twarzy, kazała się im wysilać w kierunku jaknajdoskonalszego jej wykonania.

Siły magiczne mieszczące się w masce, występowały przedewszystkiem w momentach obrządkowych zaklęć, momentach błagalnych, momentach dziękczynnych i ofiarnych. Wśród tych obrządków, czy to inicjacji młodzieży w tajemnice życia dorosłych, czy przygotowań wojennych lub polowań, czy wreszcie zaklinaniu pogody lub odklinaniu nieszczęść spadających na okolicę i plemię, wkładano właśnie owe maski. W jednem np. plemieniu indyjskiem (Kanada) tancerze przed polowaniem ubierają się w maski bawołów i wykonują przez kilka godzin specjalne pląsy obrzędowe. Indjanin, który pierwszy stracił siły ze zmęczenia, symbolizuje bawoła, który pierwszy zginie od strzał tego plemienia. — Symbolicznie więc wbijają strzały i noże współplemieńcy w skórę i maskę tańczącego, którą jest pokryty. Po tem wyciągają go za ręce i nogi poza obręb





Powyżej: Typowe postacie komedji włoskiej w maskach, Rysunek Callota.
Na prawo: Pantalone, charakterystyczna postać włoskiej komedji, według ryciny Callota.



Charakterystyczne wyrazy twarzy służące jako materjał naukowy dla badaczy mimiki. Z dzieła „Gesicht und Seele“ dra Lerscha.

tanecznego koła, a maskę jego i skórę przybiera inny Indjanin, puszczający się w pląsy wraz z resztą pozostałych tancerzy. — Tańce takie trwają czasem przez kilka tygodni, aż do chwili kiedy przypadkowo jakiś bawół lub inne godne upolowania zwierzę pojawi się w bezpośredniem sąsiedztwie tańczących Indjan. Tańce te i przebieranie w maski związane są z przekonaniem, że zwierzęta wiedzą wszystko i trzeba je dopiero przebłagać, by zgodziły się na zabicie.

Maski spotykamy nietylko u plemion pierwotnych, ale w teatrach narodów o wysokiej kulturze. Pojawiają się one w Grecji starożytnej. Dotychczas błędnie tłumaczono to zjawisko, względami praktycznemi, jakoby maska ułatwiała rozchodzenie się głosu w teatrze greckim i pozwalała na wielką odległość zauważyć wyraz w niej zawarty. Nowsze badania wykazały nieprawdziwość tych teoryj. Już bowiem chłopi atyccy, a przedtem peloponescy, a może i Trakowie, smarowali twarze w czasie uroczystości ku czci Dionizosa, drożdżami, była to najprostsza forma maski. Choreuci w czasie tych uroczystości przebrani za satyrów występowali również w maskach. Praojciec teatru greckiego, Tespis, wynalazł już maski płócienne, które udoskonalił Aischylos. Maski te uzupełniano wysokiemi, sztucznemi fryzurami. Maska grecka podobnie, jak maska prymitywna wyrażała oblicze tajemnej siły, a w dalszym rozwoju — boga kryjącego się w danym człowieku, półboga, wreszcie człowieka pochodzenia boskiego, czyli herosa.

W miarę zatracania się tradycyj zaczęła maska wyrażać tylko charakter wewnętrzny człowieka, łącząc się w ten sposób z nauką o wyrazie twarzy ludzkiej, tj. fizjognomistyką. W późniejszych więc fazach rozwoju teatru, aktor idąc nieświadomie za tysiącletnią tradycją teatru, odtwarzając ten lub ów typ charakteryzował się wedle jego charakteru. Zaraz przy wejściu widziano, za czasów Corneille'a i Racine'a, a nawet jeszcze za czasów romantyzmu, z jakim typem spotykamy się na scenie, człowiekiem dobrym, złym, odważnym, tchórzem, mądrym, głupim, podstępnym, leniwym itp. Dopiero naturalizm obalił tę wielowiekową tradycję, twierdząc, że na pierwszy rzut oka w życiu codziennym nie poznajemy przecież, z jakim człowiekiem mamy do czynienia i czasem trzeba kilku lub kilkunastu lat, by poznać jego charakter. Wedle teoryj naturalizmu, poza szczególnemi wypadkami, twarz aktora wchodzącego na scenę nie powinna swym wyrazem i charakteryzacją przesądzać o roli, jaką odegra w sztuce. Twarz taka mogła być nieraz niespodzianką, kryjąc pod łagodną powierzchownością brutalny lub niski charakter i viceversa. System ten przyjęty zarówno w teatrze jak w filmie był o tyle artystycznie skuteczny, że mieścił w sobie tak ważny moment zaciekawienia i niespodzianki. Z drugiej strony zrywał jednak z najistotniejszym zjawiskiem teatru, z dążeniem do wyrażenia tych wielkich emocyj, kryjących się poza okręgiem naszego myślenia pojęciowego, powodujących to niesłychanie silne działanie, ten metafizyczny niemal dramat, który poruszał w widowiskach obrzędowych różne narody i ludy, dając im najgłębsze wstrząsy duszy podobne stanom religijnym. Z chwilą przyjęcia przez teatr maniery naturalistycznej, skończyła się wielka sztuka teatralna, a nastało erudycyjne popisywanie się znajomością naukowej psychologji. Zapomniano, że nauka i sztuka mogą niekiedy pośrednio korzystać ze swoich zdobyczy, ale muszą iść zupełnie innemi drogami.



Maska japońskiego aktora. Z dzieła „Der Japanische Holzschnitt“ Kurtha.

Z początkiem XX wieku nastąpiła jednak silna reakcja przeciw owemu naturalizmowi, a jednym z jej wodzów był Wyspiański. W projektach charakteryzacji poszczególnych postaci, występujących w jego dramatach lub dramatach przez niego inscenizowanych (np. Dziady), powrócił on do silnego wydobywania typów, tak jak to było w XVI i XVII wieku w teatrze średniowiecznym a przedewszystkiem teatrze antycznym. Maska i charakteryzacja są bowiem jednem i tem samem: wspólnym wysiłkiem ujawnienia wewnętrznego wyrazu na twarzy ludzkiej w sposób stały i niezmienny, w ramach danego przedstawienia.

Liczni nowsi reformatorzy sceny również wprowadzają różnorodne maski lub charakteryzacje. Tak futuryści włoscy usiłowali rozpowszechnić maski gumowe jako uwydatniające bardziej grę mimiki ludzkiej. Rosyjski reformator teatru, Tairoff, użytkował do zdobienia twarzy ludzkiej t. zw. różnorodnej faktury, czyli różnorodnych materjałów. Lepił on np. na twarzy aktorów pudełka od pasty lub sardynek, kawałki afiszów, nalepek, rozmaite skrawki płócien i sukna, uzupełniając pozostałe miejsca szminką. Teatr polityczny Piscatora w Berlinie wprowadzał znów t. zw. maski socjalne, a przedstawiciele poszczególnych klas mieli charakterystyczne typowe maski. Również wprowadził maski słynny reformator francuski teatru, Jan Coupeau.

Reformy te spowodowały, że we wszystkich naprawdę artystycznych i dogłębnie pracujących teatrach kierownik plastyczny projektuje nietylko dekoracje i kostjumy ale charakteryzację, względnie maskę każdej występującej postaci. Teatr więc odrzucił błędną teorję naturalistów, pokutującą jedynie jeszcze na niesamodzielnych artystycznie scenach i wrócił do swojej istoty, odwiecznej tradycji, do maski, do ujawniania jak najmocniejszego wewnętrznego wyrazu na twarzy grającego człowieka.

Poniżej od lewej: Stefan Jaracz jako Szela w sztuce Żeromskiego. — Słynny aktor japoński Kumaju Hangoro w charakterystycznej roli. (Z dzieła Kurtha).

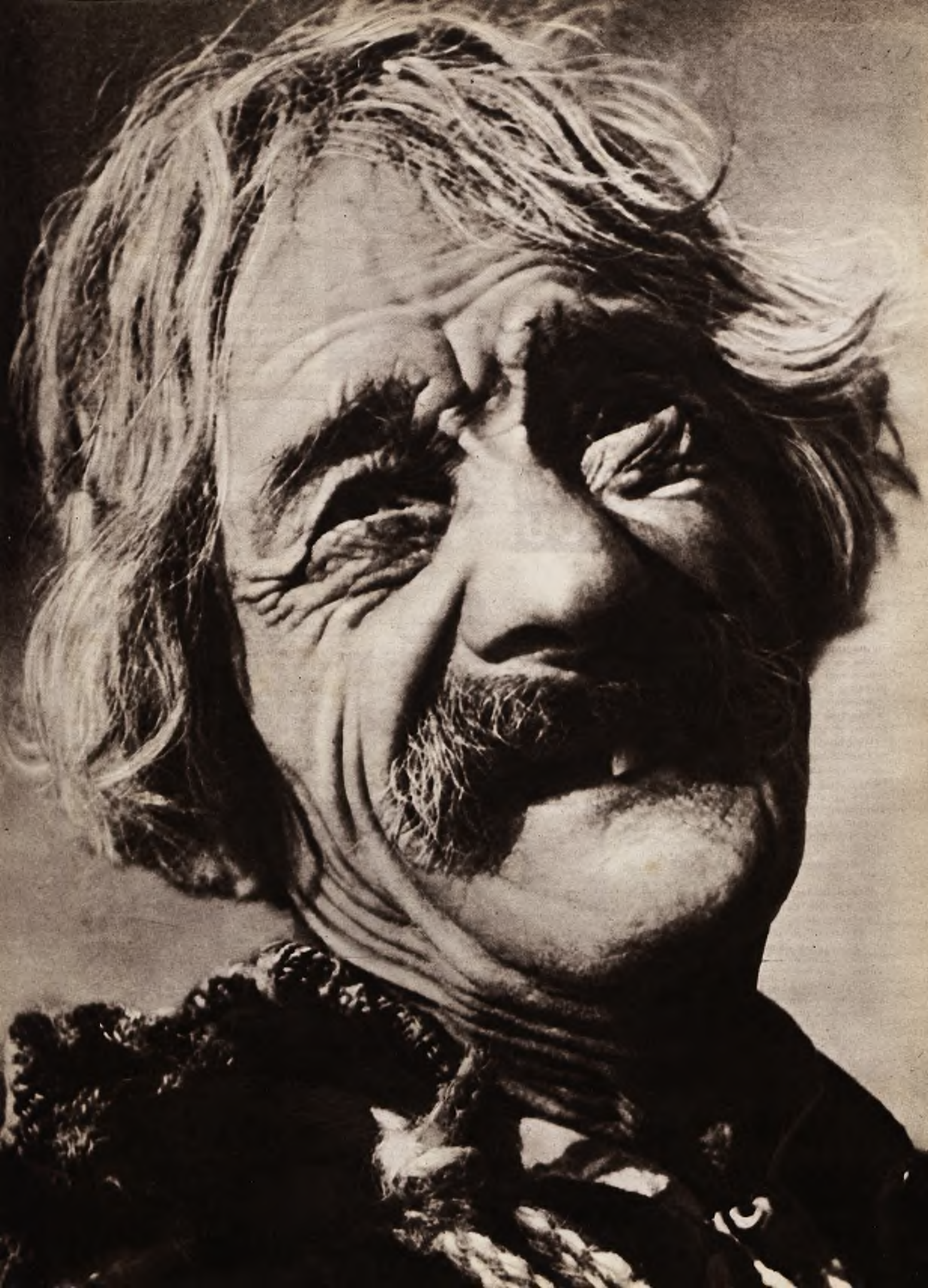


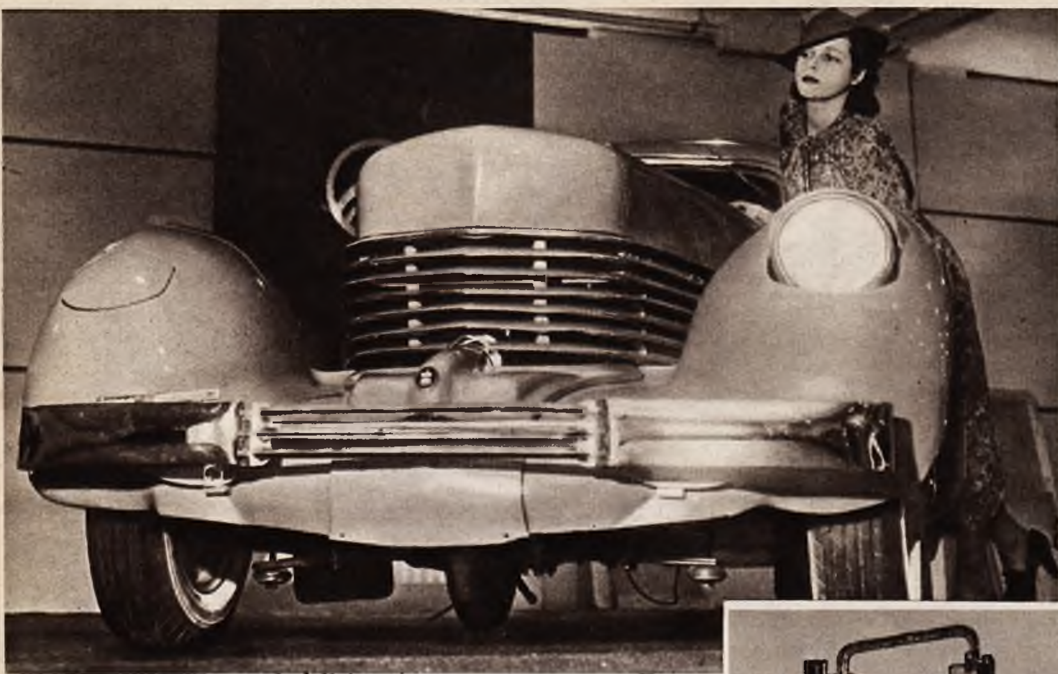


Na prawo: Wspaniała „maska“ słynnego artysty K. Junoszy Stępowskiego jako Płaza-Spławski w „Dziejach grzechu“.



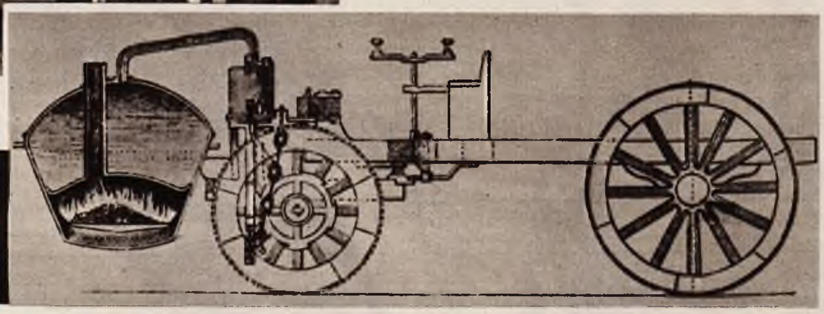
WŁOCZĘGA
Fot. Presse Photo — Berlin.





Jeden z najnowszych modeli samochodowych z wystawy w U. S. A. Reflektory schowane w wachlarzu dla zmniejszenia oporu.

KIEDY ROWER BYŁ SZYBSZYM OD SAMOCHODU



Wóz poruszany parą, wynalazku Cugnota z r. 1769, może uchodzić za protoplastę auta.

Sir Malcolm Campbell rozpoczął już nowe próby ze swym słynnym „Niebieskim Ptakiem", na którym za wszelką cenę chce pobić rekord szybkości, będący w jego posiadaniu i przekroczyć w końcu upragnioną granicę 500 km. na godz. Czy próba ta mu się uda, zobaczymy niebawem, tymczasem zaś przypomnijmy czytelnikom pierwsze wyścigi automobilowe, które przed czterema dziesiątkami lat interesowały w równym stopniu cały świat, jak dziś szaleńcze wyczyny Sir Campbella.



Oto pierwszy motocykl, zbudowany przez Daimlera w r. 1885.

W dniu 11 czerwca 1895 roku, plac Etoile w Paryżu zaległ tłum eleganckiej publiczności. Tego dnia po raz pierwszy w historji świata miał się odbyć wyścig automobilowy, który zgromadził 50 maszyn. Liczba ta była niezwykłą, jeśli weźmiemy pod uwagę, iż w całej Francji w okresie tym było zaledwie ich 250. Konkurenci mieli w jak najszybszym czasie dojechać do Bordeaux i z powrotem. Trasa wynosiła więc około 1.200 km.

Wśród biorących udział w tym historycznym wyścigu największą uwagę zwracała „La Nouvelle", skonstruowana w 1880 r. przez Amédé Bollée i która poruszaną była zapomocą pary. Samochód ten posiadał 12 miejsc, zabierał ze sobą zawsze wszystkie części potrzebne do zamiany, ponadto posiadał dwa rowery, ażeby w razie „nawalenia kichy" lub zepsucia motoru, obsługa mogła się udać do najbliższego miasta w celu znalezienia pomocy. „La Nouvelle" w oczach wszystkich była triumfatorką tego wyścigu. Bracia Michelin zgłosili aż trzy maszyny: „Hirondelle", „Araignée" i „Éclair" Nosiły one dlatego tak dziwaczne nazwy, iż mogły się posuwać do przodu tylko zygzakami. Maszyny te miały jednak na kołach kauczukowe opony, co stanowiło nowość.

Prasa paryska pisząc o tym wyścigu, zapytywała się, czy jest możliwem, ażeby samochód mógł być szybszym od roweru? — Wszyscy niemal zgodnie odpowiadali na to, iż jest to niemożliwe. Wyścig tymczasem biegł przez Paryż, którego ulice pełne były gawiedzi. Mimo, iż przed zawodnikami znajdowało się do pokonania 1.200 km., do Wersalu przybyło już tylko 19 maszyn, z których dwanaście poruszanych było zapomocą nafty, sześć parą i jedna elektrycznością. — 31 pozostałych odpadło na ulicach Paryża.

Do Tours przyjechała jako pierwsza, maszyna Emila Lavasseura, przebywszy przestrzeń 234 km. w 10 godz. 40 min Szybkość jej średnia wynosiła 27 km. na godz. W drodze powrotnej Lavasseura zaskoczyła noc. Miał on do oświetlania drogi zwykłą latarnię, która mu odpadła W rezultacie mechanik musiał trzymać ją w ręku i w ten sposób oświetlać sobie drogę. Z tyłu tymczasem rozgrywała się walka pomiędzy dwiema maszynami „Peugota". W rezultacie wśród niebywałego entuzjazmu publiczności Levasseur dojechał do mety w 48 godzin, a więc o 52 godz. szybciej, niż wynosił czas przepisany regulaminem. Jego szybkość średnia na całej trasie wynosiła 25 km. na godz. Publiczność z trudem w to uwierzyła i wielki dziennik paryski „Figaro" w ten sposób pisał o tym wyścigu:

„Szaleńczy bieg trwa, bieg zadziwiający i pasjonujący. Pierwszy samochód dojechał do Bordeaux wczoraj o godz. 10 min. 40 rano. Maurice Martin, który był tam sędzią, znajdował się na wirażu koło Alei Tournoy. Pierwszym, który obok niego przejechał, był



Oto jedna z taksówek paryskich, któremi 6 września 1914 roku transportowano wojsko na front.

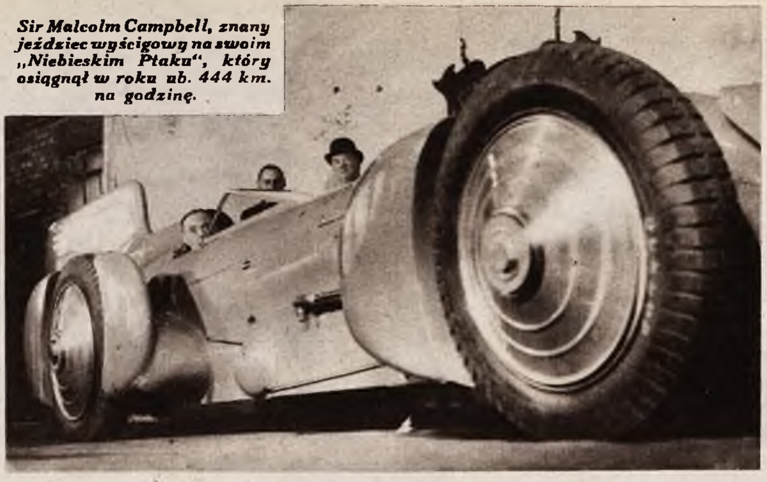


Powyżej na prawo: Wnętrze współczesnego luksusowego auta, w którem nie brak nawet radja.

Poniżej: Twórca znanych samochodów Karol Benz wraz z rodziną przy swojej „pierworodnej" maszynie.



Emile Levasseur, prowadzący samochód Nr. 5, mający dwa miejsca i poruszany za pomocą nafty. Średnia szybkość na trasie Paryż—Bordeaux wynosiła 24 km. 400 m. Rekord kolarski został pobity przez pojazd nie posiadający koni! Czy mógł to ktoś przewidzieć? Czy mógł ktoś w to uwierzyć?"



Sir Malcolm Campbell, znany jeździec wyścigowy na swoim „Niebieskim Ptaku", który osiągnął w roku ub. 444 km. na godzinę.

Levasseur nie otrzymał jednak pierwszej nagrody. Regulamin nie uznawał samochodów, mających zaledwie dwa miejsca i dlatego też pierwszą nagrodę przyznano „Peugotowi", posiadającemu cztery miejsca. Nagroda ta wynosiła wówczas 31.500 fr., a więc około 55.000 obecnych polskich złotych.

Ciekawem jest, iż ci wszyscy kierowcy, którzy wówczas brali udział w tym wyścigu, są dziś najbardziej znanymi konstruktorami samochodów i samolotów. Po tym pierwszym wyścigu rzucono myśl założenia klubu automobilowego. W ten sposób pierwszy Automobil-Club na świecie powstał w Paryżu w 1895 roku, dopiero w dwa lata później założono go w Londynie, a w 1899 roku w Berlinie. W Anglji i Niemczech pierwsze wyścigi automobilowe miały miejsce dopiero w kilka lat po słynnym biegu Paryż—Bordeaux, gdyż rządy zajęły wobec automobilizmu zdecydowanie wrogie stanowisko, w obawie wypadków przejechania.

Potrzeba było pięciu lat, ażeby zastosować na kołach opony kauczowe i dopiero w 1899 roku w biegu Paryż—Trouville wszystkie maszyny były w nie zaopatrzone. Użycie kauczuku było wówczas największym postępem techniki. Pracowano nad tem we wszystkich zakładach. Opony kauczukowe, wytrzymywały jednak tylko 150 km. tak, że każda załoga musiała być specjalnie wytrenowana, ażeby zmieniać je co godzinę.

W 1899 roku słynny wydawca amerykański Gordon-Bennett ufundował nagrodę swego imienia na wyścig międzynarodowy samochodów, podobnie, jak w kilka lat później zrobił on to dla balonów Do tego czasu międzynarodowe wyścigi samochodowe jeszcze nie istniały. Puhar Gordon-Bennetta wygrał wówczas Charron. W tym samym roku, w wyścigu dla „Młodych Kierowców" wyróżnił się 22-letni Louis Renault. Zastosował on w maszynie, skonstruowanej przez siebie w Billancourt motor o bardzo słabej sile, zmniejszając jednocześnie ciężar samochodu.

W ciągu tych pierwszych lat postęp automobilizmu był znacznie szybszym, niż w chwili obecnej. W 1903 roku potrafiono już osiągnąć 105 km. na godz. i w tym samym roku zorganizowano głośny do chwili obecnej wyścig Paryż—Madryt. Zapowiedź jego wywołała tak wielkie zainteresowanie wśród konstruktorów i kierowców, iż zgłoszono doń 215 maszyn. W ogrodach Tuileries poważni panowie w cylindrach w ciągu dwóch dni ważyli samochody, przyczem odmówiono prawa udziału w biegu „Bugatti", oświadczając, iż jest ona zbyt niską i kierowca nie może w żaden sposób widzieć przed sobą szosy! Na drodze znajdowały się setki tysięcy widzów, pragnących zobaczyć te niezwykłe pojazdy bez koni, szybsze od rowerów. Tuż po starcie zaczęły jednak nadchodzić fatalne meldunki. Anglik Barrow unikając przejechania psa, wpadł na drzewo, zabijając siebie i mechanika. Samochód francuski Portera stanął w płomieniach, przyczem mechanik zginął. Kilka samochodów wpadło na tłum. W rezultacie dziesięciu konkurentów zginęło śmiercią tragiczną, jednocześnie około 30 widzów zostało ciężko rannych lub zabitych. Po tym tragicznym wyścigu rządy zakazały organizowania dalszych zawodów automobilowych. Jeden z dzienników paryskich napisał wówczas w związku z tem:

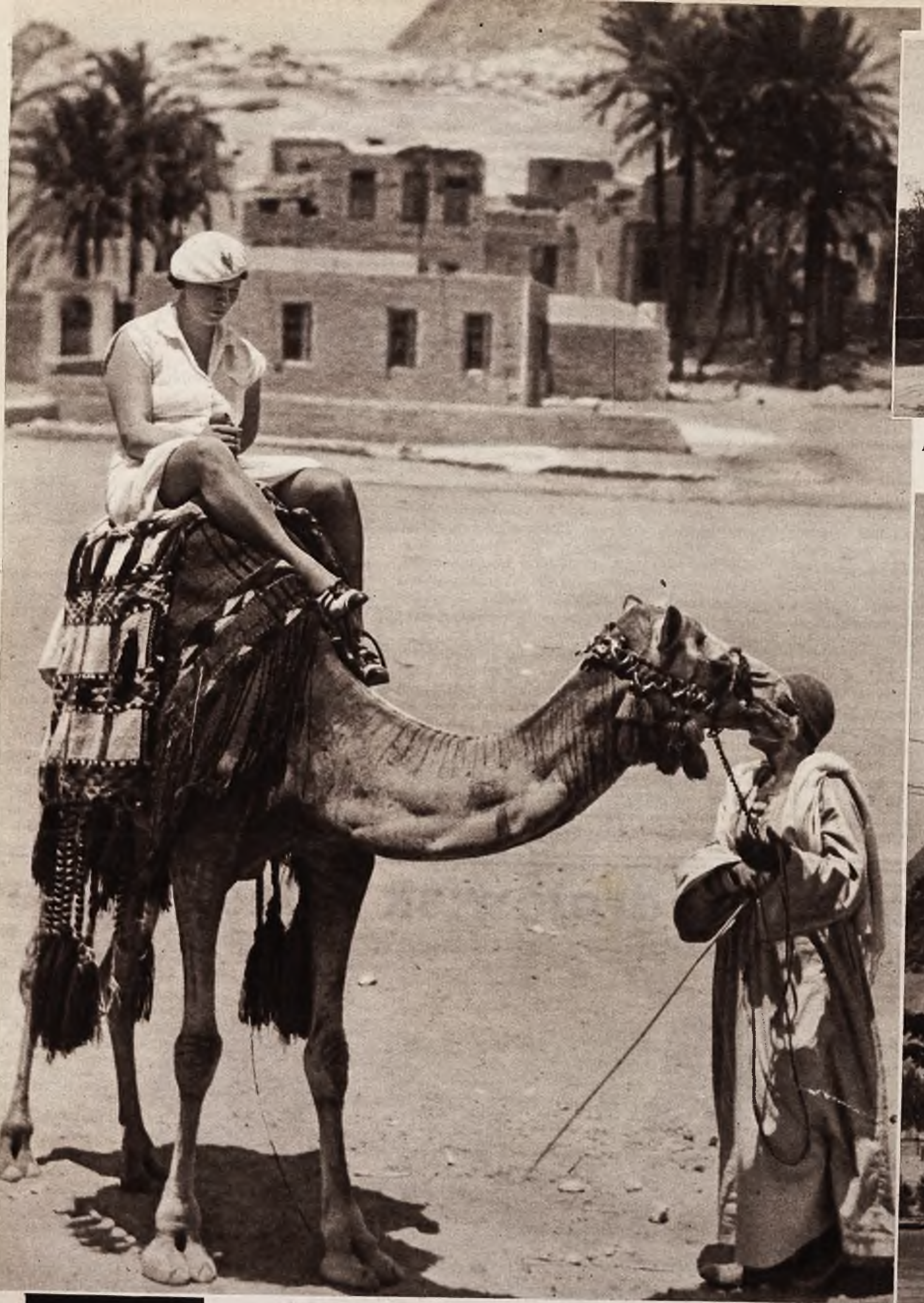
„Byliśmy świadkami ostatniego wyścigu automobilowego. Zresztą tego rodzaju manifestacje nie mogą mieć żadnego znaczenia praktycznego. Automobilu udoskonalić więcej już nie można".

To było powodem, dla którego rozpoczęto budowę specjalnych torów wyścigowych. — Wyścigi znikły z szosy, lecz rządy nie potrafiły się oprzeć wspaniałemu rozwojowi automobilizmu. Puhar Gordon-Bennetta stał się niedługo potem największą imprezą automobilową. W 1904 roku ,kiedy to zwycięstwo odniósł w nim Thery, obecnym również był na zawodach Wilhelm II. W rok później puhar ten rozegrany został po raz ostatni. Francuz Thery wygrał raz jeszcze, zdobywając go na własność i wówczas słynny mecenas amerykański ufundował puhar dla balonów, który przetrwał do chwili obecnej i jest w posiadaniu Polski. **Hajot.**

Perła śląskich zdrojowisk — Jastrzębie



Jastrzębie-Zdrój na Śląsku jest piękną miejscowością, oprawioną w rozległe parki i ogrody i sąsiaduje z prawdziwie uroczą okolicą Techniczne urządzenia zdroju stoją na wysokim poziomie, jak o tem świadczy przedstawiony na powyższem zdjęciu gmach Łazienek III stanowiący jeden z licznych objektów Zakładu Kąpielowego w Jastrzębiu-Zdroju.



Wielbłąd nie dał się pomimo postępu wyprzeć przez auta i koleje.



Przeszłość i teraźniejszość: wielki mec w Kairze i nowoczesny samochód.



Fragment uliczki w kupieckiej dzielnicy Kairu.



U wejścia do kanału Sueskiego wita okręty pomnik Ferdynanda de Lesseps.

EGIPT – KRAJ TAJEMNIC...

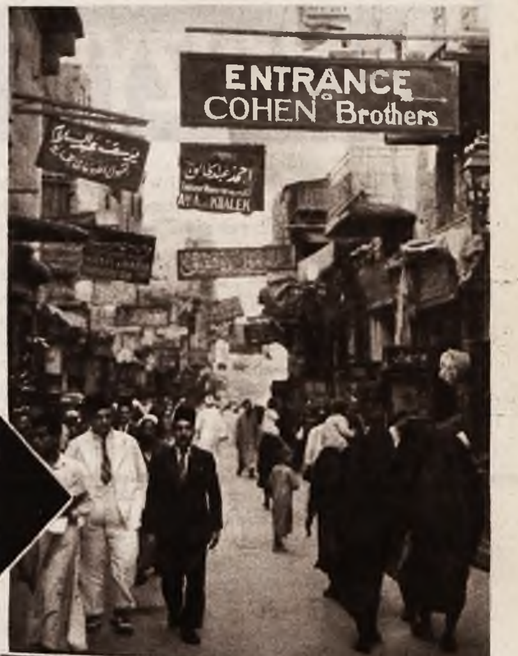
Przeszły czasy wspaniałości egipskich Faraonów, a po tysiącletnim letargu kraj ten wszedł do historji wraz z szczękiem broni wojsk Napoleona Bonaparte... Nowoczesny Egipt, stworzony po wojnie światowej tylko zewnętrznie nawiązał do swej wielkiej przeszłości. Dzisiaj zarówno Kair, jak Aleksandrja i inne miasta przedstawiają dziwny amalgamat cech przeszłości i kultury współczesnej, europejskiej. Obok starożytnych piramid, z których, jak wyraził się Napoleon, cztery tysiące lat potęgi patrzało na francuskie sztandary, przejeżdżają współczesne autocary, z żałosnem pieniem muezzina, wzywającego wiernych do modtliwy — mieszają się urywki tang i slow-foxów, dolatujące z modnych dancingów i różnych „Palace'ów" i „Excelsior'ów", urządzonych równie wytwornie, jak w Paryżu lub Nowym Jorku.

Ale mimo szystko ogarnia dziwna zaduma, gdy stanie się w obliczu tych wspaniałych zabytków wielkości Egiptu. Przypominają się urywki jego historji i w pamięci nam stają opowieści o zemście Faraonów za naruszanie ich grobowców, widzimy zastygłe, a jakże piękne rysy owej królowej Nefretete, która w jakiemś muzeum śni swój odwieczny sen i znosić musi ciekawe spojrzenia turystów... Po wodach Nilu suną powoli łodzie, a wioślarze nucą smętną, odwieczną pieśń; zdaje się, jakoby czas stanął w miejscu i nic się nie zmieniło od tysięcy lat...

John.



Od tysięcy lat wielbłądy juczne przechodzą popod piramidami w Gizeh.



Wszystkie narodowości i języki spotkać można w ciasnych, handlowych uliczkach Kairu.

Poniżej: Żaglówki płynące na wodach Nilu nie zmieniły od czasu Faraonów swego kształtu.







Od lewej: Louis Armstrong, sławny dyrygent orkiestry jazzowej. — Ady Rosner, twórca świetnego zespołu jazzowego.

AS MUZYKI JAZZOWEJ: ADY ROSNER

Minęło szereg lat od chwili narodzin muzyki jazzowej. Powszechnie przypuszczano, iż muzyka ta jest czemś przejściowem i że niebawem ustąpi miejsca nowej formie muzyki opartej na starych wzorach. A jednak jazz utrzymał się. Nietylko, że przetrwał okres próby, ale wyzbył się początkowej monotonji, nabrał poloru i udoskonalił się. Z biegiem czasu zarysowały się w muzyce tej dwa zasadnicze kierunki, jazz jako muzyka taneczna i jazz w ujęciu poważniejszem, jako jedna z form nowoczesnej muzyki.

W Polsce traktowany jest nasz jazz naogół po macoszemu i uważany jest tylko jako muzyka do tańca, zagranicą natomiast zyskał on sobie także prawo wstępu na salę wzrastających rzesz zwolenników. Jest rzeczą dosyć ciekawą, iż Polska, w której muzyka stoi wysoko, odgrodziła się w zakresie jazzu chińskim murem od wpływów zagranicy. Stąd też bardziej wyspecjalizowani miłośnicy muzyki jazzowej muszą sięgnąć, dla zaspokojenia swych zainteresowań muzycznych, do płyt gramofonowych nagranych przez doskonałe zespoły anglo-amerykańskie lub też przenieść się na falach eteru do zagranicznych kabaretów i sal koncertowych.

* * *

Było to pewnego wieczoru marcowego. Wstąpiłem przypadkowo do jednego z lokali rozrywkowych Krakowa. Na sali dancingowej panował półmrok, jedynie reflektor oświetlał jasno podjum, na którem produkowali się członkowie nieznanego mi zespołu. Wykonywano właśnie motyw z „Karnawału w Wenecji" w szeregu warjacjach, których tematem był różnorodny sposób ujęcia zasadniczego motywu przez poszczególne narodowości. Odpowiednie dekoracje w miniaturze i zmiana ubiorów nadawały tym produkcjom charakter rewji, przeplatanej często epizodami humorystycznymi. Na zakończenie wykonano motyw ujęty w formę jazzową. Już przy pierwszych taktach uderzył mnie niespotykany u nas sposób gry. Nadzwyczajna dynamika, pełne brzmienie nielicznych wprawdzie, lecz odpowiednio dobranych instrumentów, dostosowanych do nowoczesnego stylu gry hot. Szczególnie zainteresował mnie dyrygent orkiestry, który na trąbce swej dokazywał istnych cudów. Skala rozpiętości, jaką dysponował ten muzyk, wprawia w podziw niemal wszystkich obecnych na sali. Ani jedna para taneczna nie wyszła na parkiet. Wszyscy słuchali uważnie. Była to bowiem pierwsza orkiestra jazzowa w stylu zagranicznym.

* * *

Ady Rosner — gdyż o nim właśnie mowa — rozpoczął lekcje gry na skrzypcach w 6 roku życia, jako syn emigrantów polskich, którzy przenieśli się do Berlina. Już pierwsze miesiące nauki wykazały jego nieprzeciętne zdolności. W krótkim czasie czyni on też wielkie postępy. Ukończywszy kurs prof. Martina przenosi się na kurs dyrygencki. Jego grą zainteresowuje się tamtejszy radca komercjalny Bronner, który staje się niebawem jego patronem. Dzięki jeg osobistym wpływom zyskuje Rosner coraz większe zainteresowanie miejscowych sfer muzycznych i udaje mu się nawet popisywać swą grą na bankiecie, który zaszczycił swą obecnością ówczesny prezydent Rzeszy, Ebert.

Pomyślny rozwój jazzu przypada właśnie na okres, kiedy Rosner kończy 18 rok życia. Nie zwraca on jednak żadnej uwagi na tę formę muzyki i nadal studjuje z krótkiemi przerwami. Od czasu do czasu grywa z amatorstwa w niektórych zespołach jako solista w końcu ulega jednak ponętnemu engagement. Porzuca lekkomyślnie studja i rozpoczyna pracę zarobkową. Po miesiącu rozstaje się ze swemi skrzypcami i zaczyna grać na trąbce, z którą zapoznał się w czasie studjów, jako jednym z instrumentów dętych, objętych obowiązkowo programem nauczania na Wyższej Szkole Muzycznej. Okazawszy wybitne zdolności zostaje zaangażowany do Hamburga przez znanego dyrektora Rosy Petesy, jako pierwszy trębacz doskonałego zespołu jazzowego. Od tej chwili karjera jego toczy się z zawrotną szybkością. Koncertuje w szeregu miast, tworzy własną orkiestrę, wkońcu wstępuje do znanego zespołu, o rozgłosie światowym — Weintraub Syncopators. Podróżuje przez 4 lata po Holandji, Danji, Norwegji, Szwecji, Włoszech, Francji, Belgji, Szwajcarji, Czechosłowacji, Austrii i Ameryce, biorąc udział w synchronizacji wielu filmów dźwiękowych, jak „Niebieski anioł" z Marleną Dietrich, „Córka pułku" z Anny Ondra. „Weronika" z Franciszką Gaal, „Złoty saksofon" z Hans Albersem i w innych obrazach reżyserji Lamacza.

Wkońcu powraca jednak Rosner znowu do myśli założenia własnego zespołu, który montuje w Ostendzie wraz z doskonałym saksofonistą Fud Candrix'em. Jego występy cieszą się wielkiem powodzeniem. W tym czasie poznaje Louis Armstronga, uważanego powszechnie za najlepszego trębacza hotowego świata, który wyraża się bardzo pochlebnie o swym „rywalu", nazywając go nawet „białym Armstrongiem".

Zbliża się rok 1934. Rosner otrzymuje jako obcokrajowiec nakaz opuszczenia Belgji. Doskonały zespół idzie w rozsypkę. Wraca więc do Polski z zamiarem stworzenia własnej orkiestry na ziemi ojczystej, a będąc z natury prawdziwym entuzjastą, zabiera się szybko do realizacji planu i dzięki wytrwałej pracy wysuwa się niebawem na czoło naszych zespołów jazzowych.

* * *

Rosner należy do rzędu ludzi skromnych, prezentujących chętnie swe umiejętności wobec każdego, który tylko okaże mu swe zainteresowanie. Korzystam więc z tego, aby zasięgnąć jego opinji o naszej muzyce jazzowej i zespołach.

— Przyznać muszę — wyjaśnia zainterpelowany Rosner — iż zespoły nasze nie dorównują poziomowi gry zagranicą. Część winy leży bezwątpienia po ich stronie, gdyż nie starają się przejąć tego specyficznego stylu, jaki cechuje orkiestry anglo-amerykańskie. W wielkiej mierze ponoszą jednak winę dyrektorzy naszych lokali. Panuje u nas jeszcze mylny pogląd, iż duszą zespołu jest wytwornie ubrany skrzypek, na którym spoczywa obowiązek wywołania nastroju i nawiązania kontaktu z publicznością. Walory muzyczne są dopiero sprawą drugorzędną. Po przyjeździe z zagranicy uderzył mnie znamienny fakt. W czasie pertraktacyj o engagement spotkałem się pewnego dnia z dosyć ciekawym sądem jednego z dyrektorów dancingu. Na postawione mi pytanie, na jakim gram instrumencie, odpowiedziałem, nie przeczuwając niczego złego: „... na trąbce". — Trudno — odrzekł dyrektor — nie lubię trąbki, nie może pan liczyć na moje engagement". — Dopiero po paru dniach zrozumiałem istotę tej odmowy. Stanowi ona bowiem dobitne uzasadnienie powodów, dla których nie przerzucono u nas jeszcze wzorem zagranicy, punktu ciężkości w orkiestrze jazzowej, z instrumentów smyczkowych na instrumenty dęte (saksofon, trąbka, puzon, flet itp.), jako odpowiedniejszych dla oddania charakterystycznego rytmu i dynamiki jazzowej. Ten właśnie brak zrozumienia najistotniejszych cech jazzu wpływa hamująco na jego rozwój. Styl „hot" nie jest tak ciężki i jestem przekonany, iż opanowanie go nie sprawi naszym muzykom wielkich trudności. Publiczność przyzwyczai się również szybko do tego stylu, o wiele bardziej barwnego i interesującego. Ważną rolę odegrałby tu współudział Polskiego Radja w formie zainicjowania odpowiednich audycyj.

Skolei przechodzi Rosner do charakterystyki naszych zespołów. — Ogółem biorąc mamy dobrych muzyków, hołdują oni jednak jeszcze staremu i monotonnemu stylowi gry. Najlepszym jest może Witkowski, po którym poznać staranną pracę i wpływ zainteresowania się zagranicznym stylem, słyszanym bądźto przez radjo, bądźteż na płytach gramofonowych. Pozatem wysuwa się Witkowski na czoło naszych zespołów dzięki nadzwyczajnej precyzji w wykonaniu utworów.

Oto parę uwag, jakie rzucił mi Ady Rosner w czasie rozmowy, jaką przeprowadziłem z nim ostatnio w jednem z uzdrowisk polskich, gdzie obecnie koncertuje. Jest to bezsprzecznie ciekawy przyczynek dla charakterystyki zaniedbanej u nas jeszcze muzyki jazzowej.

Aleksander Landau.

Inż. WŁADYSŁAW MÜLLER

ROŚLINA WALCZY Z SUSZĄ...

W okresie pory letniej zarówno w krajach podzwrotnikowych, jak i umiarkowanych, nastaje często okres, gdzie słońce przestaje być czynnikiem życiodajnym, a przeciwnie bezlitośnie praży i wypala każdą żywą istotę. Przyroda jednak nie poskąpiła poszkodowanym licznych środków ochronnych, z których pomocą bronią się przed zabójczem działaniem promieni słonecznych. Możemy to zwłaszcza łatwo zaobserwować w krajach podzwrotnikowych, gdzie upały nie są czemś nadzwyczajnem, a są zjawiskiem normalnem. Niektóre zwierzęta niższe w klimacie tropikalnym zapadają w lecie w sen, podobnie jak nasze zapadają w sen zimowy. Ryby zwane dwudyszne posiadają i skrzela i płuca. Gdy wody pod wpływem gorąca wysychają, ryby te żyją dalej na lądzie, oddychając płucami.

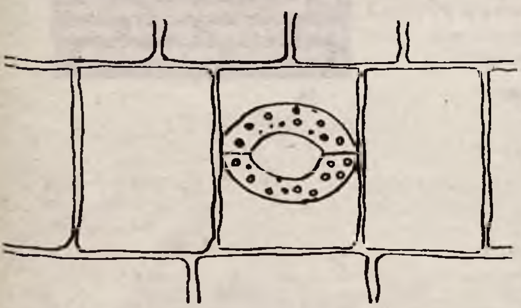
Ogromną rolę w ochronie skóry przed promieniami słońca odgrywa pigment. Drogą doboru naturalnego, przez ciągłe wysortowywanie się osobników o jaśniejszej skórze, wytworzyła się czarna barwa skóry u murzynów, przesycona pigmentem jako bardziej odporna na działanie promieni słonecznych. Dlatego też ogólnie utarło się mniemanie, że ludzie opalający się łatwo, są zdrowsi od trudno opalających się, których organizm jest osłabiony i nie zdolny do produkowania pigmentu. Skóra wystawiona na działanie słońca ulega porażeniu i wytwarza się stan zapalny, paraliżujący normalne funkcjonowanie skóry. Organizm broni się w ten sposób, że wytwarza w miejscach wystawionych na działanie słońca barwik zwany pigmentem, który pochłania promienie cieplne i ochrania skórę od porażenia. Jeżeli uważnie przypatrzymy się zwierzętom, zobaczymy, że pigment skupia się u nich w postaci ciemnych plam wokół ważniejszych organów. Nos zabarwiony jest czarnym pigmentem, wokół oczu sierść ciemno zabarwiona, nierzadko i na skórze znajdują się duże łaty ciemnej sierści ,ochraniające wewnętrzne organa. Zarówno sen letni jak i pigment są właściwe tylko światu zwierzęcemu, świat roślinny innemi zupełne sposobami broni się przed posuchą i gorącem.



Prastary dąb w Śledziejowicach pod Krakowem.



Włośnik nierozerwalnie jest złączony z cząstkami gleby.



Szparka oddechowa liścia.



Szparka oddechowa w przekroju poprzecznym. Linja kreskowana oznacza szparkę w stanie zamkniętym.



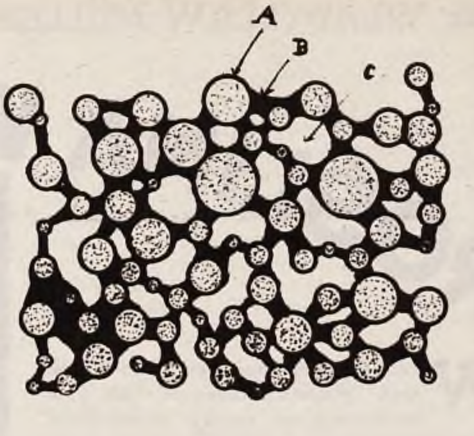
Wilczomlecz mięsisty posiada łodygę podobną do kuli.

Posucha i brak wody nie zagraża bezpośrednio ani człowiekowi ani zwierzętom, mogą one bowiem przenosić się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu wody. W świecie roślinnym jest przeciwnie. Wysoka temperatura nigdy nie jest dla rośliny tak groźna, jak brak wody, który powoduje więdnięcie.

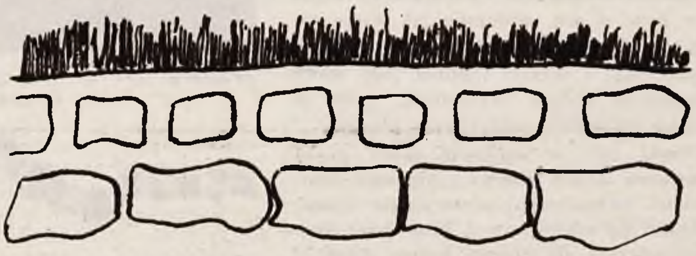
Do wytworzenia materji organicznej nie wystarczają roślinie pierwiastki pobierane z powietrza lecz także potrzebne są i inne, rozpuszczone w formie soli, krążące z wodą wewnątrz ziemi. Zmusza to roślinę do pobierania wielkich ilości wody. Nadmiar jej zostaje wyparowany przez liście a skoncentrowane sole zostają wewnątrz organizmu rośliny. Obliczono, że na 1 gr. suchej substancji, musi roślina pobrać i wyparować średnio 300—400 gr. wody. Poza tą rolą woda utrzymuje komórki rośliny w stanie jędrnym. Gdy podczas posuchy brak wody w glebie jest tak znaczny, że system korzeniowy nie może pokryć zapotrzebowania, następuje więdnięcie rośliny. Do niedawna istniał pogląd, że rośliny przed utratą wody bronią się tylko z pomocą swoich anatomicznych właściwości. Anatomiczne przystosowanie do zmniejszenia parowania polega na wytworzeniu grubego nabłonka, lub powłoki woskowej, albo żywicznej. Bardzo skuteczną

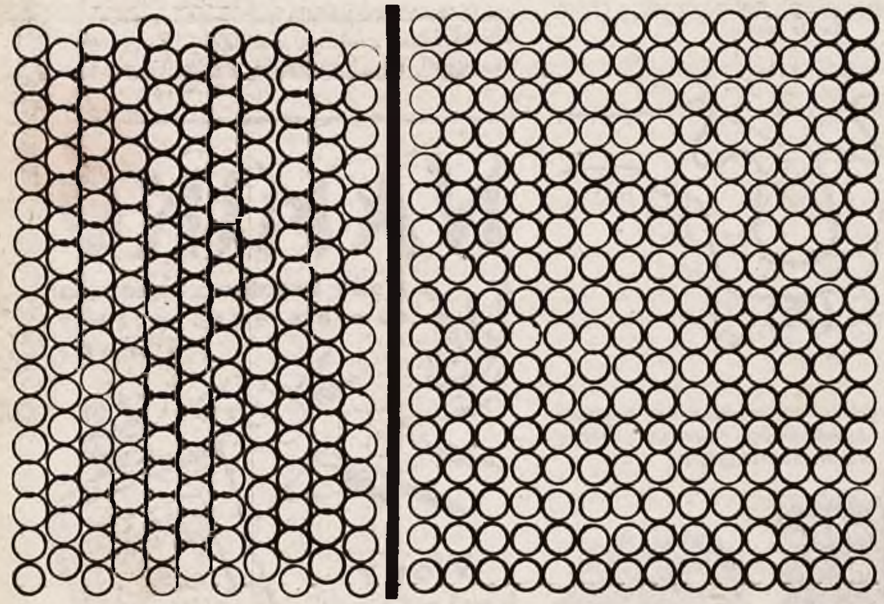
ochronę przeciwko zbytniemu parowaniu stanowi pionowe ustawienie blaszki liściowej. Inne rośliny przechowują zapas wody w zgrubiałych częściach łodygi lub liści. Rośliny te pospolicie są znane pod nazwą mięsistych jak naprzykład kaktusy. Regulowanie transpiracji przypisywano również działaniu małych otworków t. zw. szparek, umieszczonych na powierzchni liścia. Szparki te w razie potrzeby zamykają się i przerywają parowanie. Ruchy zamykające szparki są spowodowane zmianą ich jędrności. Przy nadmiarze wody szparka jest napięta i otwiera się. Po wyparowaniu wody traci jędrność, spłaszcza się i zamyka. Ostatniemi jednak czasy liczne badania zmieniły ten pogląd doszukując się właściwego źródła tej odporności w wewnętrznych właściwościach plazmy. Tak n. p. doświadczenia pokazały, że ruchy szparek i zmiany w przebiegu transpiracji niezależne są od siebie. Na ruchy szparek przedewszystkiem ma wpływ światło, podczas gdy transpiracja zależy od wilgotności powietrza. Inne doświadczenia wykazały znowu, że niektóre rośliny, mimo więdnięcia, nie zamykają szparek, lub zamykają zapóźno i więdną. Zestawiając liczne dane doświadczeń swoich i innych uczonych, dochodzi sowiecki uczony, prof. Maksimow do wniosku, że rola szparek w procesie transpiracji jest o wiele mniejsza, niż dotąd przypuszczano. Wielką rolę w walce rośliny o życiodajną wodę odgrywa system korzeniowy. Z pomocą niezliczonych rozgałęzień wnika we wszystkie szczeliny gleby, a najmniejsze korzonki zwane włośnikami, tworzą z cząstkami gleby nierozerwalną całość. Ekologja, czyli nauka o wpływie warunków zewnętrznych na ustrój rośliny, dzieli rośliny na trzy grupy. Hydrofity — rośliny żyjące w środowisku o nadmiarze wody, mezofity — rośliny żyjące w warunkach normalnych i xerofity — rośliny wytrzymałe na brak wody.

Nas więc w pierwszym rzędzie obchodzić będą xerofity. Poznanie ich właściwości anatomicznych i fizjologicznych które pozwalają im na przetrzymywanie długotrwałych posuch, stało się celem badań wielu uczonych. Na początku obecnego stulecia zostało utworzone specjalne laboratorjum w Ameryce w pustyni Awisońskiej dla badania życia roślin pustynnych. Paradoksalnem zdawałoby się twierdzenie ,że xerofity odznaczają się szybką i intensywną transpiracją, a jednak liczne doświadczenia prof. Maksimowa potwierdziły to w całej rozciągłości. Przytem rośliny o liściach mięsistych transpirują mniej niż rośliny o liściach suchych i cienkch. Budowa xerofitów również nie wykazuje jakichś specjalnych anatomicznych szczegółów któreby mogły ograniczać transpirację. Przeciwnie, n. p. liście górne drzew są bardziej unerwione, niż dolne, a wysychając, przybierają kształt liści wyciętych, aby tem samem zwiększyć ilość naczyń przewodzących wodę na jednostkę powierzchni. Wytrzymałość xerofitów na posuchę leży w ich specjalnej zdolności przetrzymywania daleko idącego więdnięcia. — Rośliny mięsiste stanowią zupełnie odrębną grupę i ich właściwości anatomczne, ochraniające przed nadmierną transpiracją zupełnie niesłusznie przyznawano i innym roślinom. Widzimy więc, że odporność roślin na posuchę zależy od fizyko-chemicznych właściwości plazmy komórkowej. Plazma komórkowa posiadająca zdolność długotrwałego przetrzymywania więdnięcia, ochrania całą roślinę od śmierci. Właściwości analogiczne, jak nabłonek, tkanka korkowa, liście mięsiste, regulacja parowania z pomocą szparek, są tylko czynnikiem drugorzędnym. Zagadnienie odporności roślin na posuchę zwłaszcza uprawnych, miało dla człowieka wielkie znaczenie. Od niepamiętnych czasów pomagał człowiek roślinom uprawnym w walce z posuchą, nawadniając pola sztucznie budowanemi kanałami. Sposoby te znał już starożytny Egipt. Współczesna nauka, znająca zawiłe labirynty genetyki zdołała drogą krzyżowania i doboru wytworzyć odmiany odporne na brak wody. Człowiek współczesny, mający do dyspozycji technikę i wiedzę, może do pewnego stopnia stawić czoło do niedawna żywiołowej klęsce posuchy.



Schemat układu gleby: a. cząstki gleby, b. woda przylegająca do nich, c. przestwory międzycząsteczkowe wypełnione powietrzem.





Układ cząstek gleby. Na lewo: przestwory międzycząsteczkowe są mniejsze, gleba trudniej zatrzymuje wodę; po prawej układ jest luźniejszy, co powoduje łatwiejsze zatrzymywanie wody.

Poniżej: Wspaniały okaz egzotycznego drzewa w Śledziejowicach pod Krakowem.

Nalot woskowy ochrania roślinę przed nadmiernem parowaniem.





PORANNE MGŁY
UNOSZĄ SIĘ NAD NOWYM JORKIEM...

FOT. KEYSTONE — BERLIN

NASZ PRZEBÓJ MUZYCZNY

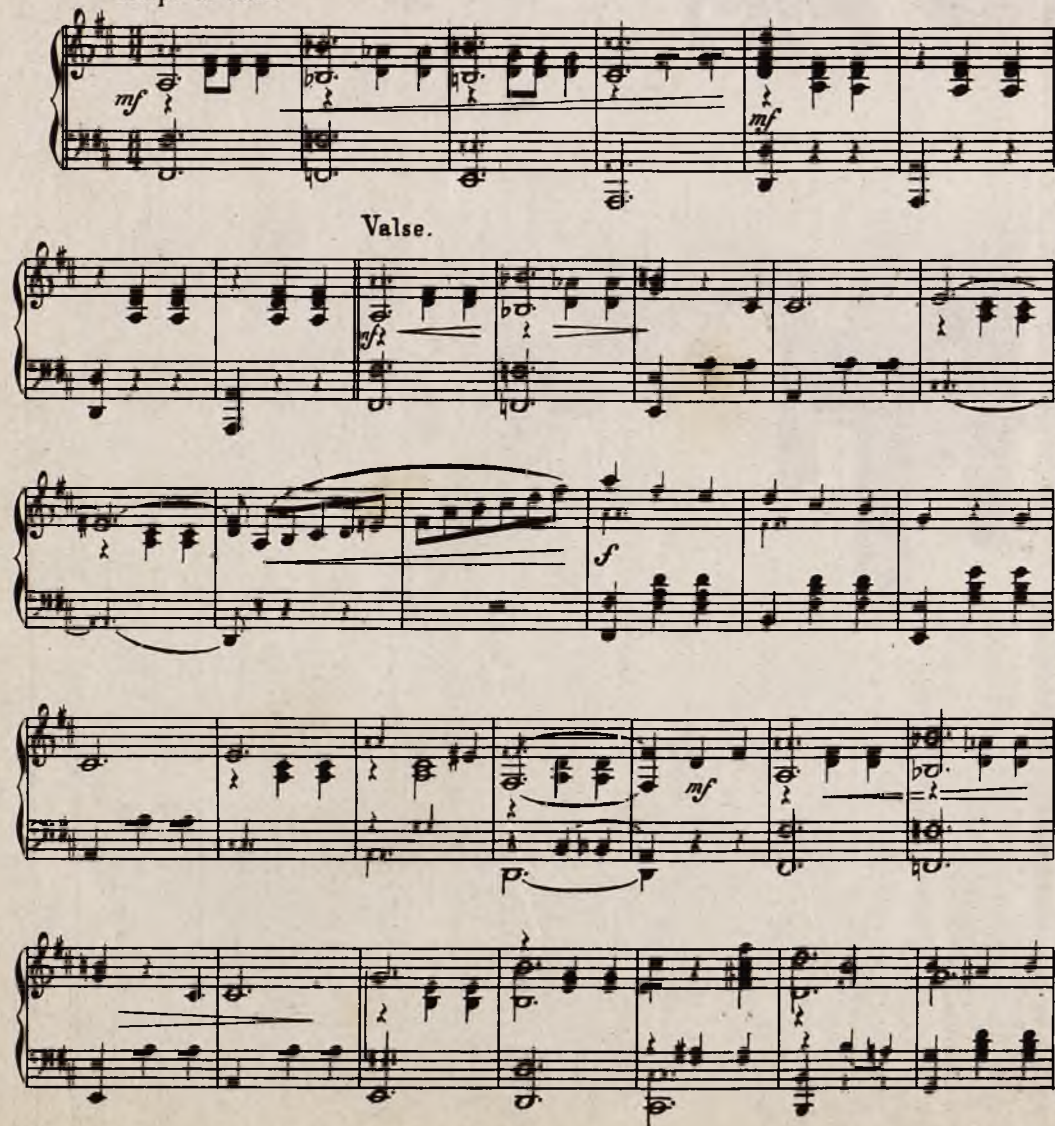
WIĘC TAŃCZ...
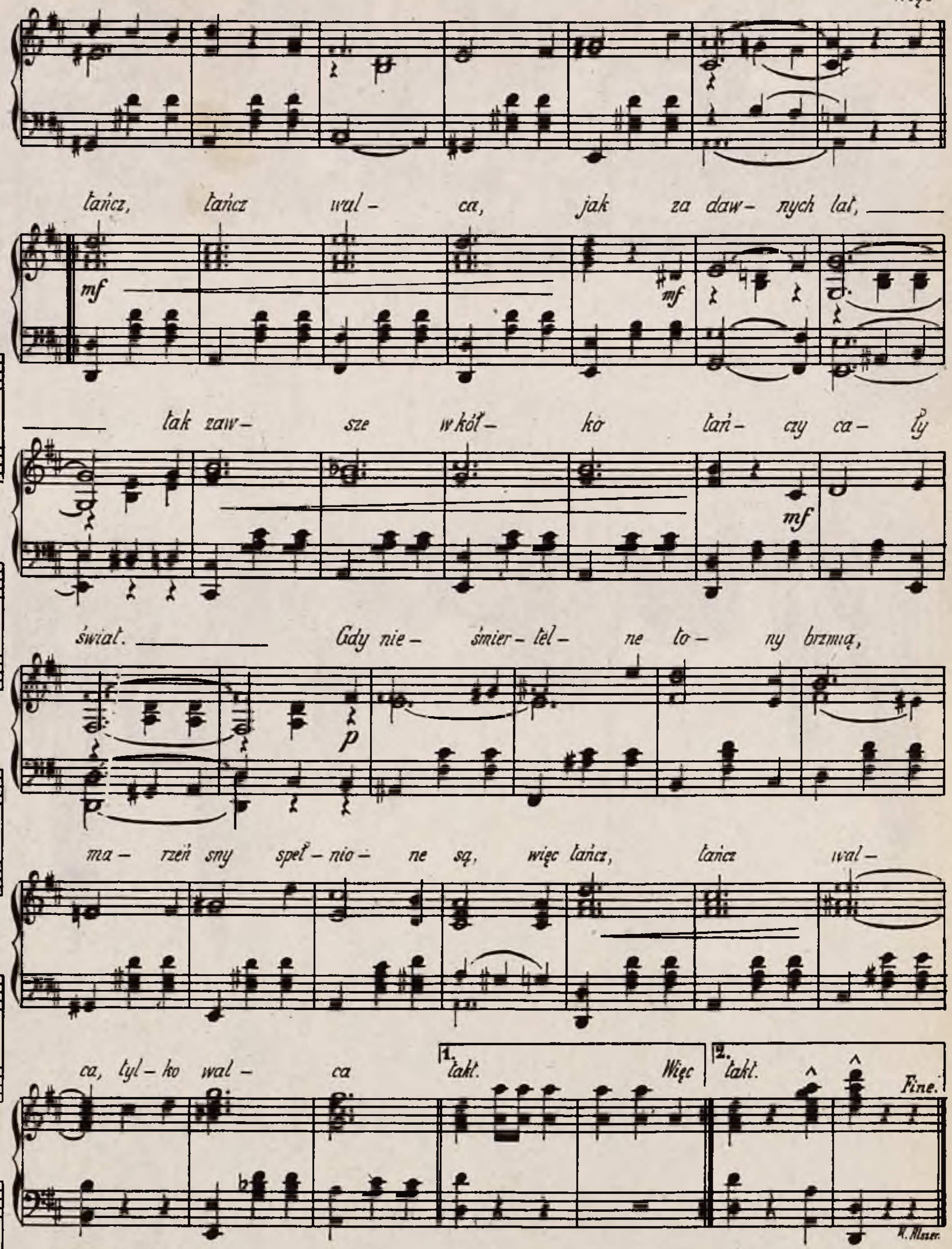
WALC

Układ i słowa:
F. PASIKOWSKIEGO

Muzyka:
F. GŁOWACKIEGO

Tempo di Valse.







KAPITAN „FAI-TSI-LONGU"

ODCINEK 11.

Napisał H. WILD POWIEŚĆ Tłum. JULJA RYLSKA

ILUSTR. AL. ŻMUDA

Byłem zdecydowany pomagać mu ze wszystkich sił — chociaż odnosiłem się pesymistycznie do całej tej sprawy. Z przykrem uczuciem więc czekałem na ukazanie się Fai-tsi-longu w Swatow — a niesmak mój wzrastał, w miarę, jak zbliżał się termin jego przybycia.

Tutaj muszę opisać panu pewną scenę, mającą szczególne znaczenie. Od owego spotkania na pokładzie Fai-tsi-longu widziałem się już kilkakrotnie z Mr. Koo — zawsze w obecności pana Martigues. Chińczyk kłaniał mi się z godnością i powagą — ja odpowiadałem mu takim samym ukłonem. Mogliśmy doskonale uchodzić za ludzi, którzy nie spotkali się nigdy w okolicznościach delikatnych i wysoce nieprzyjemnych dla jednego z nich. Mr. Koo był w najwyższym stopniu ugrzeczniony — i wyglądał, jak zawsze, na porządnego człowieka i solidnego kupca. Myślę, że w istocie był takim w gruncie.

Lecz pewnego dnia Mr. Koo przybył do ajencji pod nieobecność p. Martigues i zaczął rozmawiać ze mną o interesach. —. Nagle urwał. — Pewnie chciałby zacząć mówić o tem zajściu na okręcie — pomyślałem. Znałem bowiem dosyć dobrze Chińczyków — wiedziałem, że ucieczka żony była dla Mr. Koo niesłychanem poniżeniem jego godności. Godność osobista! Wie pan chyba, co to znaczy dla Chińczyka! Taki pan wolałby stracić majątek — życie — niż godność! Chińczyk wogóle nie znosi rozmowy o swych sprawach osobistych. W tym wypadku musiało mu widocznie zależeć bardzo na odzyskaniu tej godności w moich oczach. „Niechybnie zacznie mówić o tem..." — powtarzałem sobie.

I zaczął rzeczywiście.

Najpierw kilka niespokojnych spojrzeń w kierunku drzwi, jakby się obawiał, że powrót p. Martigues przeszkodzi mu w wyłuszczeniu całej sprawy. Wiedziałem, jak bardzo musiał się czuć nieszczęśliwym, iż trzeba mu mówić o niej — o swojej żonie. Ja zaś z ciekawością czekałem na to, co mi powie; mogłem przecież wyłowić z tego coś użytecznego. Gdyby nie to, nie byłbym nigdy popełnił tego ogromnego nietaktu, by zacząć mówić pierwszy z Chińczykiem o jego sprawach osobistych. Lecz tutaj czułem, iż mogę zaryzykować:

— Mam nadzieję, Mr. Koo — odezwałem się — że wszyscy członkowie rodziny pańskiej cieszą się dobrem zdrowiem...?

Pytanie moje wywołało jakby wielkie odprężenie u niego. Skłonił się i odrzekł po angielsku:

— Dziękuję panu bardzo — pani Koo miewa się doskonale. — Zawahał się chwilę — i mówił dalej: — Żona moja zaniechała zupełnie wszelkiej myśli o podróży...

— A, bardzo mnie to cieszy, bardzo. Tak ze względu na nią, jak na pana. Byłby się pan niepokoił — kobieta młoda wystawiona jest na tyle niebezpieczeństw w podróży...

— O tak — na wielkie niebezpieczeństwa mogła się narazić... — Przedstawiłem jej to — i zdołałem ją przekonać — w zupełności...

I wyrecytował mi, jedną za drugą, kilka maksym chińskich.

— Trzeba się z tem liczyć, że jest to kobieta z Zachodu — przerwałem mu. — Musiała nałamać się dopiero, by zmienić swój sposób myślenia. Widzę, że udało się jej dojść do tego...

A Mr. Koo chwycił się oburącz deski, którą mu podałem:

— Właśnie, właśnie! — Kobieta z Zachodu... Słusznie pan powiedział! — Obecnie, zaręczam panu, wszystko już jest w porządku.

— Niema już więc o czem mówić, skoro wszystko ułożyło się jak najlepiej..

Mr. Koo odetchnął: pozory były ocalone! I odrazu stał się bardzo chłodny i daleki — tak daleki — iż zdawało się, że nie odcinał się wogóle od swej sinoniebieskiej szaty.

W gruncie zależało mu niesłychanie na tem, by żona została przy nim. Lecz tak samo zależało mu, by nazywało się oficjalnie, iż ona również pragnęła nie rozstawać się z nim. Byłoby mu szczytnie niemiłem uchodzić — w oczach Europejczyka zwłaszcza — za człowieka, który nie potrafi zachować się po europejsku względem żony. W głębi duszy wiedział, że z prostej grzeczności tylko przyjąłem jego wyjaśnienia — i że nie przykładałem do nich wiary. To jednak nie miało najmniejszego znaczenia z chwilą, gdy udawałem, iż wierzę jego słowom. Pozory były ocalone.

Kiedy zacząłem znów mówić — mówiłem już tylko o herbacie. Pani Koo znikła z horyzontu naszych zainteresowań — jakgdyby nigdy nie było o niej mowy. Za chwilę zjawił się Martigues, a po kilku minutach rozmowy — oczywiście w dalszym ciągu o herbacie — Mr. Koo pożegnał nas, jak zawsze, prześcigając się w uprzejmości. Był jeszcze bardziej Chińczykiem, niż kiedykolwiek.

Był to w całem tego słowa znaczeniu porządny i wcale niezły człowiek; dotąd jest to mojem przekonaniem. To, że wysilał się narzucić żonie obyczaje chińskie, polegało na zupełnym braku zrozumienia z jego strony. Atawizm pchał go do tego, iż zachowywał się jak rdzenny Chińczyk wobec kobiety z Zachodu. Zaślepienie jego było tak wielkie, że w głębi duszy musiał być szczerze oburzony stanowiskiem, jakie zajęła żona. W czasie pobytu we Francji, może nie patrzył tak jasno w siebie i szczerze nie miał zamiaru łamać woli kobiety, którą kochał. Lecz kiedy znalazł się z powrotem w ojczyźnie, w swojem środowisku, porywy te — o ile kiedy istniały? — rozwiały się natychmiast i zupełnie.

Żona była dlań legalną własnością, do której miał wszelkie prawa. Widzi pan, te małżeństwa między osobami, należącemi do diametralnie różnych ras — które dzieli jakby nieprzenikliwa ściana, utworzona z odwiecznych, dziedzicznych przekonań i przesądów — to są rzeczy przykre. Ludzie, którzy u nas rozprawiają o asymilacji ras, mówią o tem, jak ślepi o kolorach. Najczęściej są to ludzie, którzy nie ruszyli nogą poza Francję, albo przebywali bardzo krótko tu, na Dalekim Wschodzie. W ostateczności jeszcze, Europejczyk,

kiedy ożeni się z Chinką, czy Japonką, z dobrej rodziny, potrafi zgotować kobiecie takiej życie, w którem nie czułaby się zupełnie nieszczęśliwą. Rzadziej jednak zdarza się, żeby Europejka wyszła za człowieka żółtej rasy — to jest prawie niepraktykowane. Bo widzi pan, Europejki nie mają bierności kobiet Wschodu...

XII.

Upłynęło blisko trzy tygodnie, kiedy pewnego ranka zjawił się przede mną jakiś kulis i wyciągnąwszy zza pasa list, podał mi go. Zapamiętałem do dziś dnia datę: było to 15-go kwietna, blisko siedm lat temu.

A mnie ścisnęło tu w dołku, kiedy dowiedziałem się z listu, że Harcourt był już w Swatow — i gotów do czynu, który zamierzał... Donosił mi, że Fai-tsi-long przybił właśnie do naszych brzegów i prosił, abym natychmiast spotkał się z nim. Znając go, wiedziałem, że nie odstąpił ani na jotę od swych zamiarów — a na myśl, że już tak bliską jest chwila ich spełnienia, zimno mi się robiło. Bliska chwila... Oczywiście! Wiedziałem przecież, że porwanie nastąpi bezwątpienia tej samej nocy...

Nie czas już było zastanawiać się. Udałem się więc natychmiast na pokład Fai-tsi-longu. Pocieszałem się, wmawiając w siebie, że może Harcourt nie miał jeszcze sposobności zwerbować swoich drabów i że rzecz cała ulegnie zwłoce. Byłbym wolał, żeby tak było! Tak mało czasu miałem przed sobą, by przyzwyczaić, oswoić się z tą myślą! Ot — gadałem sobie wszystkie „trzy po trzy“, które wymyśla człowiek, kiedy poprostu strach go oblatuje przed grubem ryzykiem. — A ja, mówiąc prawdę, bałem się... — Z trwogą myślałem, co też wyniknie z całej tej afery...? Tak, strach mnie oblatywał... Wprawdzie, kiedy pomyślałem o pani Koo, wyrzucałem sobie gorzko mój egoizm. Ale mówiłem sobie zaraz, że z czasem znalazłby się przecież jakiś inny sposób, mniej gwałtowny, mniej ryzykowny, żeby jej pomóc...

Nie, żebym był tchórzem — nie, zaiste! Zdaje mi się, że dałem już tego dowody. Ale jestem człowiekiem pozbawionym wyobraźni; niema we mnie nic z romantyka, w tem cała rzecz! A Harcourt był to w gruncie romantyk — romantyczność zaś jest zawsze niebezpieczna... Może pociągnąć człowieka do wielkich rzeczy, to prawda — lecz nie gotuje mu nigdy spokojnego, ułożonego jak w zegarku życia! I właśnie ta romantyczna strona całego przedsięwzięcia, która pociągała mego przyjaciela, mnie, nie odpowiadała wcale.

Przybywszy nad rzekę, ujrzałem Harcourta, jak przybijał łodzią do brzegu. Stary statek, w niedalekiej odległości na wodzie, wydał mi się jeszcze brudniejszy, bardziej opuszczony i smutny, niż poprzedniego razu. Niepokój, który mnie dręczył, przyczyniał się widocznie do tego, że patrzyłem nań jeszcze mniej przyjaznem okiem, niż pierwej. A Harcourt promieniał wprost radością, kiedy podawał mi rękę na przywitanie Wyczytałem na jego twarzy niezłomną decyzję — nie mogłem już wątpić, iż wszystko było przygotowane do naszej wyprawy. Kiedy znaleźliśmy się sami, zapytał mnie odrazu:

— Co się z nią dzieje? — Czy nic złego się nie stało?

Odrzekłem, że nie podejrzewam nic groźnego.

— Żyłem w ciągłym niepokoju... — lękałem się...

Urwał i uśmiechnął się. Zdałem sobie sprawę, jak dalece czas i oddalenie zrobiły swoje: wyegzaltowały jeszcze bardziej tę, niespodzianie zrodzoną, miłość. Aby go zupełnie uspokoić, opowiedziałem mu moją rozmowę z Mr. Koo.

— Tak, to dowód, że jest dotychczas u niego w domu... Bałem się, że straci nadzieję i... Rozumiesz. — Bo gdyby ona nie żyła — gdyby się zabiła...

Przesunął ręką po czole, potem wstrząsnął głową — spojrzał na mnie i uśmiechnął się znowu:

— Ale tak, to wszystko dobrze, Rancé! Prędko doczeka się teraz wolności.

— Słuchaj — przerwałem mu — powiem ci, co dowiedziałem się od Maritgues.

— Ee, ten pretensjonalny idjota! — żachnął się niechętnie.

Lecz kiedy powtórzyłem mu zwierzenia ajenta, zawołał:

— A to nędznik! Podły tchórz! — Gdyby ta kobieta musiała liczyć tylko na niego... Ale nie mówmy już o tem! Ten drab nie wchodzi już w rachubę... I nie traćmy czasu... Czy oglądnąłeś dobrze teren?

— Jesteś więc zdecydowany działać — odrazu — teraz? — zapytałem.

Pytanie moje było aż komiczne — tak zupełnie było bezcelowe. Wiedziałem, jaką mi da odpowiedź:

— Za kogo mnie bierzesz?! Wszystko jest gotowe — mam moich ludzi na pokładzie. Dostali rozkaz słuchać mnie bezwzględnie we wszystkiem i w każdych okolicznościach. Zapłaci się ich zresztą dobrze — o tem wiedzą... A i bez tego impreza tego rodzaju odpowiada dosyć ich gustom — i zaręczam ci: są zupełnie na wysokości zadania.

Zauważył moją zachmurzoną minę.

— Rancé — czy coś jest nie w porządku?

— Cała ta sprawa za bardzo przypomina mi bohaterskie czasy wielkich piratów... Ale czasy te przeszły, Harcourt... Są już nawet daleko...

— Mój kochany, przeszły w Europie — ale nie tu. A poza tem zastanów się nad memi pobudkami. Niema złych sposobów, dla zaradzenia złemu! Chyba, żeś znalazł inny sposób — proszę?

A ja oczywiście milczałem.

— Więc słuchaj — zaczął — oto co zrobimy: dziś popołudniu ładujemy herbatę i jedwabie. Kiedy noc zapadnie, ty, który za dnia dobrze oglądnąłeś miejsce, pojedziesz łodzią wgórę rzeki. Każesz przybić do brzegu tam, gdzie zaczyna się ta poprzeczna droga. Będziesz miał ze sobą tylko czterech ludzi, żeby nie obciążać za bardzo łodzi. Ja z resztą ludzi pójdę brzegiem. Łączymy się i podchodzimy pod dom. Kiedy już będziemy ją mieli między sobą, podprowadzimy ją do łodzi i jak najspieszniej przewieziemy na Fai-tsi-long.

— Gdybyż można ją uprzedzić! — rzekłem.

— Ale jak? — Przedewszystkiem nie chcę mieszać do całej tej sprawy Martigues — rzucił rozdrażniony. — Ten dureń popsułby wszystko! — Zresztą to nie jest wcale konieczne, żeby wiedziała, co zamierzamy. Uda się i tak!

— A co będzie, jeśli służba zacznie się bronić? Albo jeśli Mr. Koo...

— Zwiąże się służbę odrazu, kiedy wpadniemy do domu. Przebierzemy się obaj za Kantończyków — maski będziemy mieli na twarzy. Niema obawy, żeby nas poznano. I ciemno będzie kompletnie: księżyc wstaje dziś o pół do pierwszej — ostatnią kwadrę mamy. Kapitan oświadczył, że jedzie na ląd i wróci dopiero nad ranem, koło 3-ciej. Wszystko więc składa się doskonale!

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIŚ O 5



Five o'clock zakochanych.

Ale czy napewno? Dzisiaj? Może o piątej? Dobrze? Tak, na herbatce... Skrupuły? Nie powinna mieć Pani żadnych... Przyrzekam, tak! Będę grzeczny, zupełnie grzeczny! Tak, do widzenia! Czekam z utęsknieniem!

Odłożył słuchawkę. Poznał ją niedawno, przez znajomych, w kawiarni. Następnego dnia poszli do kina, lecz nie wie czy wogóle na ekranie cośkolwiek wyświetlano. Patrzał się na nią; jej dziecięcy nieco profil, filuterne oczęta, przysłonięte długiemi rzęsami, jej berecik, zpod którego wymykały się pukle włosów, wszystko razem tworzyło tak uroczy i wiośniany obraz, że nie mógł od niej oderwać oczu. Bardzo się nią zainteresował, jak może nikim dotychczas, chciał więc stworzyć sobie konkretny obraz jej osoby. Chciał ją znać tak jak nikt, oddawał się wiecznej złudzie, że będzie jej jedynym przyjacielem. Po kilku dniach poznał ją na tyle, że mógł dać jej nazwę Małpeczki, świetnie, jego zdaniem, charakteryzującą jej drobną postać. Ruchy miała powolne, nieco leniwe, życie brała z niefrasobliwością dziecka, lub osoby bardzo dobrze znającej je, której nic zaskoczyć nie zdoła. Lubiła dancingi, jak wszystkie jej rówieśnice, kochała życie

Piotr zapalił papierosa, a puszczając blado-niebieskie kółka dymu uśmiechał się do jakiejś wizji. Nowa przygoda! Nie, nie przygoda, lecz etap jego życia. Wydawał się sam sobie nieco śmieszny, gdy odzyskał pewną objektywność sądu. Ileż już takich było w jego życiu, ile takich jeszcze będzie! Każdy mężczyzna wydaje się sobie herosem antycznym w takich razach, przybiera w swych oczach postać niezwykle ciekawą, uwodzicielską, a za miesiąc, za rok, pozostaną tylko fotografje, kilka listów i trochę wspomnień. Z jakąś dziwną namiętnością chciał zgłębić zagadnienie miłości właśnie w tej chwili, jakby chodziło o jego życie. Przypomniały mu się cytaty z filozofów antycznych, posłyszał jakiś głos, złośliwy, bezdźwięczny, recytujący skandując słowa Schopenhauera o miłości. Jakaś fala wspomnień buchnęła, jakieś twarze zakotłowały się przed jego oczami. A później znów inna wizja: w krajobrazie, jakie się widuje na obrazach prerafaelitów płynął jakiś cudny śpiew, harmonijny, kojący. Strofy „Pieśni nad pieśniami" uderzyły o jego uszy. Przypomniał sobie film tejże nazwy z Marleną Dietrich, na którym był z Małpeczką i znów z dalekich krain spekulacyj filozoficznych wrócił na realny grunt życia. Lecz kładą się cienie nad tym obrazem. Gdy na dancingu jakiś znajomy Małpeczki poprosił ją do tańca, i ona ucieszona przyjęła zaproszenie, serce Piotra po raz pierwszy doznało przykrego ukłócia. Tak z miłością w duszę jego weszła żmija zazdrości.

Wstał i począł chodzić po pokoju. Poco brać wszystko tragicznie? Po co wogóle zastanawiać się? Trzeba być współczesnym, brać co życie daje i na tem koniec. Znów mu się przypomniał uśmiech Małpeczki, tak, jakim go widział w sali dancingowej, wśród gwaru ludzkiego, muzyki i tej nieokreślonej, a jednak tak charakterystycznej atmosfery, na którą składa się i wesołość i śmiech i spojrzenia kobiet i ruchy ich i myśli.

Spojrzał na zegarek: godzina pierwsza. Za cztery i pół, dajmy na to, doliczając „akademickie" pół godziny spóźnienia, będzie u niego. Straszna rzecz te spóźnienia! I co za solidarność panuje u kobiet: każda jest niepunktualna! Robi to wrażenie, jakby kobiety kradły drugiej połowie ludzkości te najlepsze chwile, chcąc tylko urość w cenie! Tak, to taktyka, to nie przypadek. A te chwile oczekiwania liczą się podwójnie, jak służba wojskowa na froncie. Każda chwila staje się wiecznością, a potem wieczność staje się chwilą.

Piotr spoważniał: trzeba pomyśleć o przygotowaniach. Wermut, herbata, kruche ciasteczka.. Trochę kwiatów... Drzemiące w człowieku zdolności reżyserskie obudziły się. Uśmiechnął się z pobłażaniem sam nad sobą. Miłość to wspaniała pieśń, stara jak świat, ograna, spopularyzowana do obrzydliwości. I ciągle nowe głosy, ciągle nowi aktorzy czynią z niej cudną rzecz, godną zazdrości bogów, o ile oni też nie kochają. Pieśń, która ogarnia świat, która potężna jest jak łoskot fal, rozbijających się o brzeg.

J. G. M.



„Więc dziś napewno?".

Na prawo: Czasem wystarcza jedno spojrzenie...



M. M. DUDREWICZOWA

KORONKI KLOCKOWE

VIII

Wstawka z wężykiem płócienkowym i pajączkami (16 parek).

Robimy wstawkę wedle schematu A. — W punktach a-c-e umieszcza się po 2 parki, w punkcie d 4 parki, w punkcie b jedną parkę. Ponadto po jednej parce wieszamy w dodatkowych punktach pomiędzy punktami b-c. Razem mamy na wałku 16 parek.

Zaczynamy klockować z prawej strony drugą połowę pajączka (vide „As" nr. 28 i 29, gdzie szczegółowo przeprowadzone były pajączki na 4 parki).

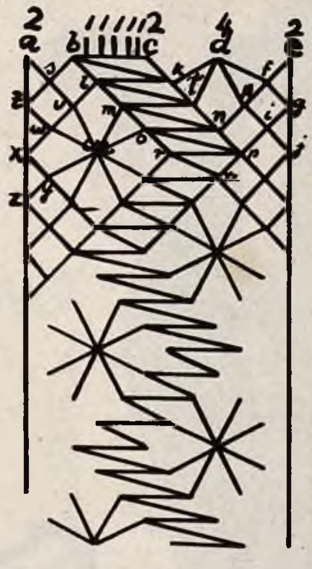
Gdy połowa pajączka gotowa, odkłada się 2 parki na lewo do roboty wężyka, a 2 parki z prawej strony przechodzą do dziurek. Górna nóżka pajączka i lewa parka z punktu e tworzą punkt f. (Nóżki pajączka kręci się 4 razy, parki przerabiające dziurki po 2 razy). Parki z punktów f-e tworzą g na brzegu wstaweczki. Druga nóżka pajączka i parka z punktu f tworzą punkt h. Parki z punktów h-g dają punkt i, parki i-g tworzą punkt j na brzegu wstawki.

Przystępujemy do roboty wężyka, zaczynając z punktu c, gdzie znajdują się 2 parki. Przerabiamy gładkie płócienko ze wszystkiemi parkami na lewo aż do punktu b. Teraz wbija się szpilkę tuż obok szpilki w punkcie b i klockuje płócienko na prawo do punktu k, który tworzy się po dobraniu górnej nóżki pajączka. Wracamy płócienkiem na lewo do punktu l, pozostawiając ostatnią parkę z punktu b do roboty dziurek.

Także z punktu l odkłada się skrajną parkę na dziurki, a klockuje się dalej gładko na prawo do punktu ł, gdzie dobiera się drugą nóżkę pajączka. Klockuje się dalej znów na lewo do punktu m, odkładając po jego przerobieniu skrajną parkę do pajączka, który znajduje się z tej strony na wzorze. Znów przerabia się płócienko na prawo do punktu n, dobierając dwa razy kręconą parkę z punktu h. Dalej płócienko na lewo do punktu o, gdzie odkłada się drugą parkę do roboty pajączka z lewej strony wężyka.

Od punktu o klockujemy płócienko na prawo do punktu p, dobierając parkę z punktu i, którą kręcimy przedtem 2 razy. Znowu wracamy gładkiem płócienkiem na lewo do punktu r. Tu żadna parka nie będzie odkładana, lecz klockujemy na prawo do punktu rz. Tutaj po przerobieniu wbijamy kolorową szpilkę dla oznaczenia końcowego narazie punktu roboty, bo przejdziemy na lewo, aby zrobić dziurki z lewej strony wstaweczki. Zaczynamy je od punktów a-b, tworząc punkt s. Parki z punktów a-s dadzą punkt t na brzegu wstaweczki. Teraz wykonujemy drugą skośną linję z pnktu i do punktu x poprzez punkty u-w. W ten sposób mamy przygotowane parki do roboty pajączka cz.

Po wykonaniu pajączka odkłada się 2 parki na prawo do dalszej roboty wężyka i 2 parki na lewo do roboty dziurek. Następuje znów wykonanie odcinka wężyka, przez jaki przechodzą zabrane przez niego 2 parki wężyka, które po przerobieniu wydostają się na prawo znów do roboty pajączka po drugiej stronie wężyka. Widzimy tutaj, że parki z pajączków i dziurek przechodzą zawsze przez wężyk z jednej strony wstawki na drugą.





Od lewej: Schemat A: wstawka klockowa na 16 parek z płócienkowym wężykiem i pajączkami z 4 parek. — Wstawka klockowa wedle schematu A.

Koronki z ząbkiem piórkowym (16 parek).

W koronce wedle schematu B nowością w stosunku do cyklu podanych już w „Asie" wzorów, będzie tylko ząbek piórkowy, bo wężyk płócienkowy i pajączki robi się zupełnie tak samo, jak we wstawce powyżej opisanej.

W punkcie a. zawieszamy 2 parki, a w punktach b-d po 1 parki, oraz po jednej parce w punkcie c, i w dodanych 5-ciu punktach pomiędzy c-d.

W ząbku zwrócić należy uwagę na dwie sprawy, a to: linje półkoliste, które wychodzą z wężyka z punktów d-j-k-l, przerabiają ząbek w linjach półkolistych, wchodzą napowrót do wężyka, a przerobiwszy go, wychodzą na lewo do roboty dziurek i pajączków, by po przerobieniu tychże wrócić zpowrotem na prawo przez wężyk do ząbka i przejść przez niego znowu półkolistemi linjami z góry na dół.

Druga sprawa do zapamiętania, to parka, wychodząca z punktu ł, która przerabia wszerz linje koliste ząbka w punktach m-n-o-p-r-s-t-w-u-x-y-z itd.

W robocie ząbka zwrócić należy uwagę na przekręcanie parek. Tam, gdzie odległość jednego punktu od drugiego jest większa, kręcić należy 3 razy (np. pomiędzy punktami s-z, z-y), gdzie jest mniejsza, kręcimy dwa razy (np. pomiędzy punktami ł-p, o-r), a gdzie ta odległość jest mała, kręcimy tylko jeden raz.

Wszystkie punkty w ząbku mają cale przerobienie przed szpilką i za szpilką. Tak samo przy robocie dziurek i na punktach po bokach wężyka.

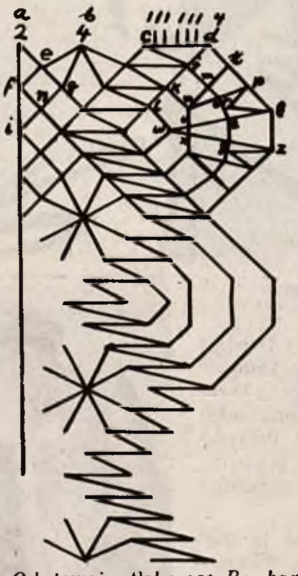
Kolejność wykonywania motywów omawianej tu koronki jest następująca: najpierw wykonujemy pół pajączka, następnie dziurki na brzegu koronki (z lewej strony). Tak mamy przygotowane parki do roboty wężyka, który zaczynamy klockować z punktu d.

Dlaczego w punkcie d. zawieszamy aż 4 parki? Otóż dwie parki będą robiły płócienko w wężyku, a dwie inne posłużą do wykonania warkoczyka do punktu ł. W tym punkcie obie parki rozdzielą się. Prawa będzie przerabiała sam brzeg ząbka, a lewa z punktu ł. przerabiać będzie kolejno punkty m-n-o-p-r-s itd.

Wróćmy jeszcze do punktu d, gdzie należy najpierw wszystkie parki ciasno przerobić i dopiero potem podzielić je na dwie części. Mamy przerobić półkoliste linje. Parki z punktów ł-j kręcimy po dwa razy i przerabiamy punkt m. Prawą parkę odkładamy, a do lewej dobieramy parkę z punktu k, tworząc punkt n. Teraz obracamy nieco poduszkę, aby było wygodniej klockować skośne linje. Parki z punktów m-n stworzą po przerobieniu punkt o. Następnie parki z punktów o-ł dadzą punkt p. I znów wracamy na lewo, obracając poduszkę, by stworzyć parkami z punktów o-p nowy punkt r. Dalej na prawo tworzy się punkt s, a na lewo punkt t. I tak dalej aż do punktu w.

W ten sposób jest gotowe pół ząbka piórkowego. Drugą połowę ząbka zaczynamy klockować od punktu w, przerabiając parki ciągle na prawo ku brzegowi aż do punktu z. Następnie przerabia się na lewo, znów na prawo itd.

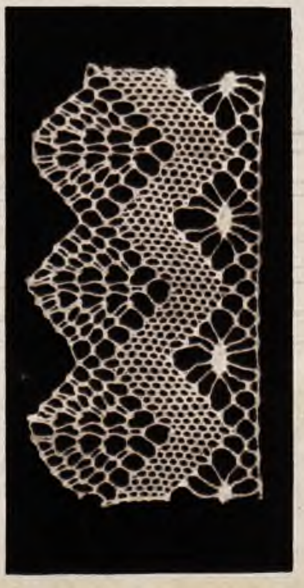
Od wielkości kratek i od grubości nici zależy, ile razy należy kręcić parki pomiędzy punktami.





Od lewej: Schemat B: koronka klockowa na 16 parek z wężykiem, pajączkami i ząbkiem piórkowym — Koronka klockowa wedle schematu B.





Od lewej: Wstawka klockowa z wężykiem siekankowym i pajączkami po 6 par. — Koronka klockowa z wężykiem siekankowym, pajączkami na 6 par i ząbkami piórkowemi.



Kołnierzyk-kryza wykonany szydełkiem, oraz praktyczne białe żabociki, kołnierzyk i kamizelka do wełnianej sukni.



Pullowerek z wełny mieniącej się w kolorach białym, niebieskim, szarym i czarnym. Krawatka z najcieńszej białej wełny.



Żabociki wykonane łatwym ściegiem szydełkowym, mocno nakrochmalone przed prasowaniem.

HAFTY I ROBÓTKI RĘCZNE EN VOGUE

Od czasu, jak moda zagarnęła w swe władanie niemal wszystkie kobiety, nigdy jeszcze nie była tak łaskawą, aby uznać za ładne i możliwe do użytku przy eleganckim ubiorze jakieś tam zwyczajne robótki ręczne, które kiedyś po amatorsku służyły naszym matkom i babkom. Najwcześniej przekonała się do nich w zakresie bielizny i odtąd piękne hafty i koronki stały się nieodzowne w ich zakresie. Potem przyszła kolej na wyroby z wełny szydełkiem czy drutami. Sportowe wymagania przyszły z pomocą niezbyt dobrej sławie tych wzorów, służących poprzednio do pogardliwie określanych grubych pończoch i skarpetek.

Dziś — jakaż zmiana. Najelegantsze tualety zapożyczają motywów z zakresu robót ręcznych. Niedawno sama Greta Garbo ukazała się w kołnierzyku-krezie, żabocie i manszecikach, wykonanych filuternie szydełkiem z samych delikatnych łańcuszków, łączonych ząbkowato. Jakaż to łatwa i jaka wdzięczna odmiana białych dodatków, odświeżających wygląd każdej sukienki. Nie trzeba dodawać, że jest to przytem nowość dostępna dla każdej pani, umiejącej trzymać szydełko w ręce. Dla okrojonych budżetów na stroje, atut to nielada, zwłaszcza gdy się zważy łatwość wyprania w domu tych drobiazgów.

Znacznie więcej pracy wymagałaby wspaniała suknia, wykonana w całości haftem, t. zw. angielskim, który jest bardzo ażurowy i wygląda jak koronka. Na to trzebaby mieć ogromnie dużo wolnego czasu. Niemniej dla pań, dysponujących nim, byłaby to możliwość nietylko dla własnego użytku, ale także na sprzedaż, bo przecież stoimy dopiero u progu sezonu letniego.

Haft płaski, kolorowy, ma duże zastosowanie w skromnych sukienkach miejskich, z surowego jedwabiu czy płótna. Trzeba tylko dbać o nowoczesne wzory i starannie je zastosowywać do modeli sukienek w sensie panującej mody, która jakgdyby tylko wykańcza suknie haftem, ale ich nim nie ozdabia. Wykończenie rękawów, szerokie paski, ale nie kołnierzyki, oto najogólniejsza zasada umieszczania na sukni haftów płaskich, kolorowych.

Letnie „endant" do wełnianych jumperków, stanowią kamizeleczki i bluzy z jedwabnego kordonku, wykonywane szydełkiem lub drutami. Także i rękawiczki ręcznej roboty są nadal przedmiotem zainteresowania mody. Można je stosować kolorami do barwy sukienek, co ogromnie rozszerzyło ich zastosowanie.

Widzimy więc, że na całej linji królują w modzie zapomniane doniedawna i nieco nawet pogardzane robótki ręczne, których wdzięk ocenią najlepiej nasze Czytelniczki z reprodukowanych obok zdjęć.

Mewa.



Na lewo: Popołudniowa sukienka, z bladoróżowego batystu z haftem angielskim. Czarny spód i czarny płaszcz z tafty „faille".



Płócienna sukienka, ozdobiona haftem z wielobarwnego łyczka. Ten sam motyw na torebce, rękawiczki szydełkowe.

Folklor w modzie

Pod względem strojów jesteśmy narodem doszczętnie „zinternacjonalizowanym". Panie i panowie, uwijający się po ulicach naszych miast, bawiący na letniskach czy uzdrowiskach, nie nadają żadnego specjalnego, polskiego piętna obrazowi ulicy.

Typy takie, nawskróś przeciętne, szare — pod względem ubioru — można spotkać zarówno w miasteczkach i miastach Francji, czy Jugosławji, Ameryki czy Australji. Mężczyźni trzymają się niewolniczo szablonów męskiej mody angielskiej, podczas gdy dla kobiet znowu „rozkazy" płyną z Paryża via Wiedeń czy Berlin.

Miasta już są zupełnie bezosobowe, a po wsiach i miasteczkach przywiązanie do tradycji strojów ludowych i narodowych, stacza prawie-że beznadziejną walkę z zalewem taniej, tandetnej, standaryzowanej odzieży fabrycznej.

Jesteśmy „światowi" — aż zanadto. Cywilizację materjalną Zachodu przyjmujemy na tym odcinku bezapelacyjnie, a nawet staramy się prześcigać obce wzory pod tym względem.

— Wszak to dobrze — wtrąci zwolennik „postępu". Europeizujemy się coraz szybciej!

A dalej można będzie usłyszeć taką replikę:

— A gdzieżto w państwach kulturalnych, w społeczeństwach wysoko cywilizowanych widzimy inny obraz ulicy miejskiej niż u nas?

Otóż właśnie, że tak nie jest. Recypujemy bezkrytycznie — jak często na innych polach — obce wzory, ba, małpujemy niewolniczo cudze myśli — nie staramy się o odcień choćby indywidualności, którąby dostosowywała pierwowzory importowane z Zachodu do charakteru naszego kraju.

Prawda, stroje męskie i kobiece we wszystkich państwach są do siebie podobne, moda jest najpotężniejszą z rządzących światem z ukrycia międzynarodówek.

Ale oprócz tej mody „powszechnej" każdy naród pielęgnuje i stara się zachować swoje właściwości, swoje odrębne cechy także w dziedzinie ubioru.

Dwie drogi prowadzą do tego celu: z jednej strony spotykamy się wszędzie z ruchem, dążącym do ocalenia przed zagładą szablonu strojów ludowych, regjonalnych, typowych dla danej okolicy, danego kraju. By uratować kulturę ludową, poszczególne państwa starają się wzbudzić wśród ludności zamiłowanie i przywiązanie do tradycyjnych strojów, do zwyczajów oddziedziczonych po praojcach. Odrodzenie nacjonalizmu, które po wojnie światowej ogarnęło Europę, znajduje także i tutaj swój wyraz.

Ze szczególną systematycznością prowadzą akcję tę Niemcy, takie same tendencje widzimy we Francji, a Holandja zachowała swe stroje ludowe — wszędzie celowa propaganda stara się wpoić w lud wiejski przywiązanie i miłość dla tych tradycyj regjonalnych.

Pozatem jednak widzimy inne jeszcze odziaływanie folkloru na modę. Oto kreacje „międzynarodowej mody" na terenie poszczególnych państw, gdzie tego rodzaju tendencje narodowe są szczególnie silne, gdzie przywiązanie do zwyczajów miejscowych nie da się zgnieść przez „standaryzowaną odzież" — uwzględniają w pewnej mierze motywy regjonalne i wszechpotężna moda ulega atmosferze lokalnej.

Folklor „góralów" alpejskich w najróżniejszych swych odcieniach opanował naprzykład modę austrjacką i niemiecką. Krótkie spodenki irchowe z naszywkami, noszone są nagminnie przez najbardziej zatwardziałych mieszczuchów



Oto jak wygląda stylowo ubrana para austrjacka. I pan i pani noszą stylizowane stroje ludowe, piękne i praktyczne. U nas tego niestety nie widać!



Na lewo: Tak powinni ubierać się nasi panowie na wycieczki górskie — zamiast pozować na „autentycznych Anglików".



Moda męska w Austrji i Niemczech uwzględnia szeroko folklor. Zarówno kapelusz, jak kurtka z rogowemi guzikami i krótkie spodenki są wzorowane na stroju miejscowej ludności

bez różnicy wieku i stanowiska, przebywających w górach, letniskach i uzdrowiskach. Kurtka „chłopska" („Joppe" albo „Janker"), kapelusik styryjski, lub tyrolski z piórkiem, są wprost „mundurem" spotykanym wszędzie w Austrji i Niemczech. A że ubiór ten jest i ładny i praktyczny, zdobył sobie nawet prawo obywatelstwa za granicami tych krajów, a znowu obcy, bawiący w Austrji, chętnie noszą „strój miejscowy". Wystarczy wskazać, że obecny król angielski, będąc jako ks. Walji w Austrji, prezentował się jako autentyczny „Styryjczyk", że strój ten wdziewają na siebie zarówno arystokraci, jak wysoka biurokracja, inteligencja, mieszczaństwo — jednem słowem wszyscy. Niemniej i moda kobieca pozostaje pod wpływem tego folkloru. Do dobrego tonu poprostu należy, by panie na wywczasach letnich nosiły t. zw. „dirndl" — czyli lekko zmodernizowane, stylizowane, stroje dziewcząt wiejskich. Firmy krawieckie współzawodniczą między sobą, by projektować coraz to inne, coraz to ładniejsze i gustowniejsze modele w tym duchu utrzymane.

Także w kraju wszelakich tradycyj, Anglji, spotykamy się z tem przywiązaniem do folkloru. Kostjum szkocki, charakterystyczna spódniczka męska w kratki, jest w Szkocji oficjalnem uzupełnieniem zwyczajnej marynarki, a jako nakrycie głowy panuje wszechwładnie tam czapeczka szkocka z długiemi wstążkami.

W krajach tych istnieje wprost snobizm folklorowy. Nikt się z tego nie śmieje, nikt nie pokpiwa sobie z takich „ceprów" tyrolskich czy szkockich.

A u nas? Czyż my nie mamy pięknych motywów folklorystycznych, któreby można uwzględnić w modzie męskiej? Mamy je, ale wolimy być „stuprocentowymi" Anglikami. Zamiast zmodernizować kapelusik góralski, nasi eleganci „szwarcują" z Wiednia kapelusiki tyrolskie czy styryjskie. Zamiast zastosować do t. zw. blazerów koloryt łowicki, noszą nasi panowie „nieskażony" import angielski.

A nasze panie? Zamiast wykazać pomysłowość i zmodernizować stroje ludowe — a mamy ich bez liku — od łowickich, poprzez krakowskie, góralskie aż do huculskich i wschodnio-małopolskich — wolą niewolniczo kopjować „dirndle" austrjackie i lansować je jako „ostatni krzyk mody".

Z tem lenistwem myślowem, z tem niewolniczem naśladowaniem obcych wzorów, z tym ciągłym importem cudzego folkloru — powinniśmy wreszcie zerwać.

Mamy artystów, którzy mogą naszkicować odpowiednie modele. Przypominamy tutaj, że ubiegłego roku artysta-malarz Antoni Wasilewski lansował kostjum narciarski oparty na wzorach góralskich. Dzisiaj zamieszczamy projekty, które starają się uwzględnić motywy ludowe w strojach męskich i damskich, przeznaczonych na letniska. Niewątpliwie inni projektodawcy wystąpią z własnymi pomysłami. Potrzeba tylko grupy pań i panów, którąby zechciała w praktyce zastosować te projekty, zburzyć mur fałszywego snobizmu i wtedy będziemy mieć w Polsce modę nowoczesną, nie pozbawioną jednak charakterystycznych cech narodowych.

Przecież nikt nie wymaga, byśmy nagle zaczęli nosić zwykłe stroje góralskie czy łowickie — ale cechy tego folkloru powinniśmy odpowiednio stylizować i uwzględniać w naszych ubiorach.

W ten sposób pogodzimy piękne z praktycznem: będziemy posiadać piękny i własny strój wycieczkowy, a z drugiej strony będziemy nim robić żywą reklamę, która bodaj czy nie będzie skuteczniejsza od sążnistych artykułów na temat Polski.

K.

Na prawo: Inny projekt stylizowanej mody opartej na motywach polskich. Jak widzimy można niesłychanie prostemi środkami osiągnąć bardzo ładne kostjumy sportowe dla pań i praktyczne modele ubrań dla panów.



Na prawo: Strój szkocki w Anglji cieszy się niezwykłą popularnością. Dobry przykład idzie zgóry: członkowie rodziny królewskiej chętnie ukazują się w stroju szkockim. Na zdjęciu ks. Jerzy Kentu ze swą żoną.



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3–4 osoby.

ZUPA „MINESTRA“ Ugotować główkę włoskiej kapusty i pokrajać drobno, dodać łyżkę masła, poddusić, zaprawić kilku łyżkami kwaśnej śmietany, rozbitej z łyżką mąki i rozprowadzić rosołem w potrzebnej ilości. Ryż jako dodatek.

OMLET Z GRZYBKAMI. Udusić grzybki w maśle z cebulką, dodać soli, szczyptę pieprzu i siekanej pietruszki. 4 jaja i 4 łyżki młodej śmietany, posolić i dobrze roztrzepać Na średnio dużej patelni rozpalić łyżeczkę masła, wlać połowę jaj i rozprowadzić je po całej patelni, poruszając nią szybko, usmażyć omlet, a gdy się zetnie nałożyć na sam środek omletu połowę uduszonych grzybków, złożyć brzegi z obu stron tak, aby grzybki były przykryte i zesunąć omlet na półmisek. Tak samo postąpić z drugą połową jaj i grzybków.

HISZPAŃSKA SAŁATA. Dwa duże pomidory sparzyć, obciągnąć ze skórki i pokrajać w plastry, tak samo skrajać dwa ogórki ołupane i posolić. Spód salaterki wyłożyć liśćmi sałaty, na nich ułożyć plasterki pomidorów i ogórków, kolorami naprzemian. Wszystko zalewa się poprzednio sporządzonym sosem, utartym z żółtka, oliwy i octu lub soku cytrynowego, z dodatkiem odrobiny czosnku, który jest w Hiszpanji nieodzownym dodatkiem każdej sałaty. (Na 1 żółtko bierze się 4 łyżki oliwy).

SAŁATA OWOCOWA (surówka) Łyżkę płatków owsianych zamoczyć w trzech łyżkach wody i odstawić na 2 godziny. Na salaterkę wcisnąć sok z połówki cytryny, dodać łyżkę miodu i łyżkę surowej śmietanki lub dobrego mleka. Do tego sosu wetrzeć przez tarło duże jabłko, dodać w cienkie płatki skrajanego banana, 8—10 sztuk mielonych migdałów lub orzechów, garstkę wydrelowanych wiśni i namoczone płatki owsiane. Wymięszać i zaraz podawać. Przez skropienie likierem „maraschino“ podnosi się smak sałatki i dodaje jej pikantności, nie jest to jednak koniecznem.

POTRAWKA CIELĘCA A LA „MILANAISE“. Kawałek cielęcej pieczeni skrajać drobno i udusić z tartą cebulką i łyżką masła. Dodać soli i papryki i podlewać ostrożnie, aby się mięso zrumieniło, a sosu nie było za dużo. Pod koniec dodać 2—3 pomidorów i rozetrzeć je w sosie. Wkońcu zasypuje się łyżką parmezanu. Potrawkę podaje się w rancie z ugotowanego makaronu włoskiego, polanego masłem i posypanego parmezanem.

PIKANTNA PRZYSTAWKA LUB KOLACJA Z JAJ. Kilka ugotowanych ziemniaków kraje się w plastry, układa na maśle w rondelku i przysmaża. W międzyczasie miele się lub sieka kilka dkg szynki, posypuje nią usmażone ziemniaki w rondelku, wbija na wierzch kilka jaj tak, aby szynka była pokryta i polewa następującym sosem: rozciera się 2—3 sardelek z dwoma żółtkami, dodaje 1 dkg siekanych kaparów, szczyptę pieprzu i łyżkę parmezanu. Wkońcu dodaje się pianę z 2 białek. Rondelek wstawia się do gorącego piecyka na 10 minut. Potrawa jest bardzo wydatna i może stanowić kolację z dodatkiem hiszpańskiej sałaty, sporządzonej wedle wyżej podanego przepisu.

GRZANKI W SOSIE OWOCOWYM. 4—5 czerstwych bułek tzw. warszawskich, kraje się w plastry grubości palca, zwilża mlekiem, rozbitem z jajem, osypuje bułeczką i smaży z obu stron na świeżem maśle. Wiśnie, morele lub jakiekolwiek inne owoce rozgotowuje się w wodzie z cukrem, podprawia łyżeczką mąki ziemniaczanej, aby sos zgęstniał, Grzaneczki układa się na półmisku i polewa się je sosem tuż przed podaniem, aby się nie rozmoczyły. O ile mąka ziemniaczana nie jest chętnie widziana, można użyć jakiejś innej mączki, używanej do zagęszczania sosów, byle nie mąki zwykłej, od której sos traci swą przejrzystość.

KONSERWY OWOCOWE W SPIRYTUSIE. (Chasse caffée). We Francji podaje się po obiedzie do czarnej kawy płytki kieliszek alkoholu, w którym pływa jakiś owoc, może to być śliwka, wiśnia, dereń, renkloda, brzoskwinia itp. Konserwę tę sporządzić można z owoców mieszanych o równej twardości, nie mieszać więc truskawek lub malin z owocami pestkowemi. Sposób przyrządzania jest następujący: Z 1 kg cukru i szklanki wody gotuje się gęsty syrop na tzw. małą perłę, tj. gotuje się tak długo, aż na powierzchni ukazywać się poczną drobne pęcherzyki, jak perełki, przyczem należy pilnie zbierać piany, aby syrop był zupełnie czysty. 1 kg owoców dorodnych i zdrowych, obtartych na sucho, lecz nie drelowanych z pestek, zalewa się na misce ugotowanym syropem i pozostawia w nim do następnego dnia, w którym syrop się odlewa, zagotowuje i ponownie gorącym zalewa owoce. Powtarza się to trzy razy. W czwartym dniu dodaje się do odlanego syropu 1/8 l wody, zagotowuje, dolewa pół litra czystego spirytusu lub białego araku i zalewa owoce ułożone w słoju, tak aby były na wysokość 4 cm przykryte. Owiązane papierem pergaminowym stawia się w suchem i ciemnem miejscu.

Szyc.-Korska.



Kobieta, która prowadzi jadłodajnię Kings College

Jadłodajnia studencka uniwersytetu Kings College w Londynie prowadzi p. J. H. Harris. Nie mała to praca. Dziennie kuchnia ta wydaje 2—3 tysięcy całodziennych posiłków. Pracuje tam 6 kucharzy, zatrudnionych w trzech kuchniach. Obsługę pięciu sal jadalnych stanowi 30 kelnerek. Pani Harris kieruje tym wielkim aparatem restauracyjnym i spełnia to ku zupełnemu i ogólnemu zadowoleniu. — Na zdjęciu widzimy ją przed aparatami utrzymującemi potrawy w należytej temperaturze.

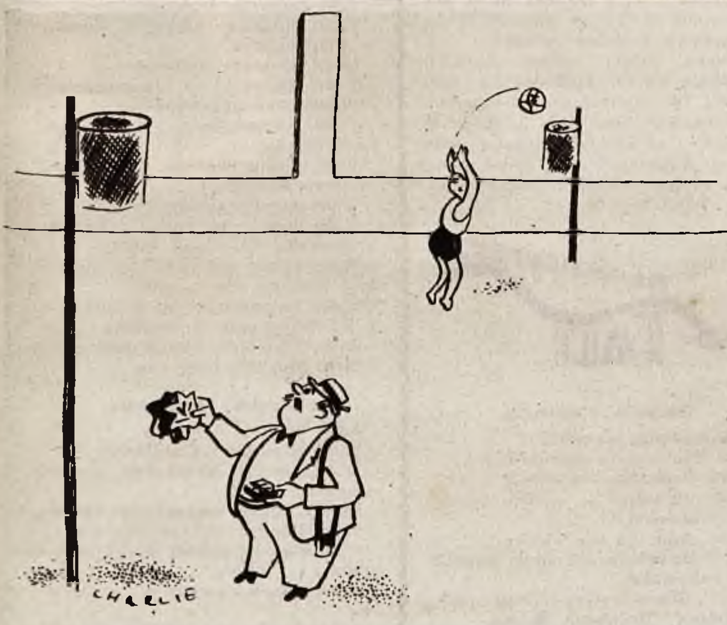
7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 33 **Sierpień** Dni 31
Niedziela **9** Romana 21 Ab	Zupa jarzynowa /purée/. Omlet z pomidorami. Perliczka z rożna z ostrym kompotem. Strudel z jabłkami. Kolacja: Zimna polędwica z ogórkami. C
Poniedziałek **10** Wawrzyńca 22 Ab	Zupa grzybkowa z śmietaną. Marchewka z groszkiem i z grzankami. Wątróbka cielęca po wiedeńsku z mizerją i ziemniaczkami. Pierożki z wiśniami. Kolacja: Potrawa z jaj i szynki z sałatą.
Wtorek **11** Zuzanny 23 Ab	Barszcz czysty na zimno. Duszone ogórki z pomidorami. Dzika kaczka z czerwoną kapustą. Mleczko waniljowe. Kolacja: Knedelki z parzonego ciasta z śliwkami.
Środa **12** Klary 24 Ab	Zupa pomidorowa na rosole. Sztuka mięsa z sosem ogórkowym. Kurczę w papryce z ryżem. Sałata z surowych owoców. Kolacja: Gołąbki z kapusty.
Czwartek **13** Hipolita 25 Ab	Zupa koprowa na śmietanie. Kotlety jarzynowe z sosem grzybowym. Potrawka cielęca à la Milanaise z makaronem. Grzanki w sosie owocowym. Kolacja: Bukiet jarzynowy, chleb, ser.
Piątek **14** Euzebjusza 26 Ab	Zupa "nic" z piankami. Jaja w sosie beszamelowym. Szczupak z sardelami na śmietanie z francuskiemi kluskami lub ziemniaczkami. Szarlotka z jabłek. Kolacja: Awanturka /ser, sardynki, rzodkiew, szczypiorek, masło/.
Sobota **15** Wniebowz. PNM. Ab	Zupa z wątróbek. Fasolka szparagowa lub omlet z grzybkami. Pieczona gąska z kapustą parzonką. Kruchy placek z owocami pod galaretką. Kolacja: Zimna gąska z ogórkiem lub rizotto na podróbkach z gęsi.

HOCKI-KLOCKI

W WIOSCE OLIMPIJSKIEJ.



— Co to za pomysł umieszczać tak wysoko kosz na odpadki!

Rozwiązania z N-ru 31-go.

NA TARGU.

Przekupek było siedem, a sprzedawały kolejno: 3 kg po 3,50 zł, 5 kg 2,10 zł, 7 kg po 1,50 zł, 15 kg po 0,70 zł, 21 kg po 0,50 zł, 35 kg po 0,30 zł i 105 kg po 0,10 zł.

MAŁY TURNIEJ.

Skok wygrał z Rzutem w stosunku 1:0.

PRÓBA SIŁY.

Jeżeli obaj panowie będą jednocześnie ciągnąć za dwa końce wagi, wówczas wykaże ona tylko 42 kg, to jest tyle, ile może ściągnąć słabszy pan Szwarc. Gdyby bowiem pan Szmidt zechciał ściągnąć swoje 49 kg, pan Szwarc nie zdołałby oprzeć się takiemu natężeniu i siłacze wyszliby z równowagi.

DUŻY SPADEK.

Dzieci było ośmioro, a więc na każde dziecko przypadło po 5850 zł. Po śmierci dwojga, pozostało sześcioro z udziałem w spadku w wysokości 7800 zł każde. Różnica wynosi 1950 zł.

NIEDOKŁADNY ZEGAR.

Zegar śpieszy się $^{5}/_{11}$ minuty na 65 minut, czyli nieco więcej niż 10 minut na dobę.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

SŁÓJ GROCHU.

Pan Szmidt i pan Szwarc usiłują zgadnąć, ile ziarnek grochu zawiera szklany słój. Pan Szmidt zgaduje 312 i myli się o 4 procent. Pan Szwarc zgaduje 351 i myli się o 8 procent. Ile ziarnek grochu jest w słoju?

BICIE ZEGARA.

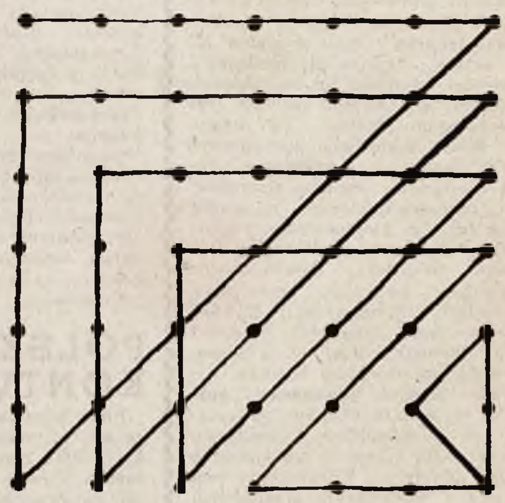
Jeśli zegar ścienny wybija godzinę siódmą przez siedem sekund, to ile sekund będzie bił godzinę dziesiątą?

GRA W KRĘGLE.



Kręgle były ustawione tak, jak to wskazuje rysunek i oznaczone wskazanemi na nim liczbami. Trzy panie i dwóch panów rzucają kolejno drewnianemi kulami: panowie po pięć razy, panie po sześć. Kręgle są natychmiast po każdym rzucie podnoszone. W ostatecznym wyniku dziwnym zbiegiem okoliczności wszyscy gracze zdobyli po 50 punktów, chociaż nie zdarzyły się ani razu dwie jednakowe kombinacje pod względem przewróconych kręgli. Pierwszy pan w swych pięciu rzutach przewrócił dwa razy 6, dwa razy 7 i raz 24, razem 50. Jakie rzuty mieli pozostali gracze?

CZTERDZIEŚCI DZIEWIĘĆ PUNKTÓW.



Proponujemy czytelnikom przekreślenie wszystkich czterdziestu dziewięciu punktów w dwunastu prostych pociągnięciach ołówka, zaczynając od punktu i kończąc na innym. Nasz rysunek podaje rozwiązanie zadania w piętnastu pociągnięciach, lecz trzeba je rozwiązać w dwunastu. Każde załamanie winno być wykonane w punkcie, a linje muszą być równoległe do krawędzi i przekątni kwadratu. Poza granice figury nie można wychodzić.

TALJA KART.

Pełną talję kart dobrze przetasowano i podzielono na dwie równe części. Górną kartę jednej paczki odkryto i okazało się, że był to pik. Teraz zkolei odkryto górną kartę drugiej paczki. Jakie są szanse, że jest to również pik?

HUMOR ZAGRANICZNY

WSPOMNIENIA.



— Tak, proszę pana! Zawsze wspominam mego męża, a wieczorem wkładam do szklanki z wodą jego i moją sztuczną szczękę! Zdaje mi się wtedy, że jeszcze żyje!

(Le Rire).

To warto poznać...



Teatr Miejski w Bydgoszczy, pozostający pod dyrekcją W. Stomy rozpoczął nowy sezon wystawieniem sztuki **Bernarda Shaw p. t. „Dylemat lekarza“**. Jest to znana jego sztuka „Lekarz na rozdrożu“, grywana od wielu lat na scenach polskich, wystawiona obecnie pod zmienionym tytułem. W sztuce tej Shaw rozprawia się satyrycznie nietylko z współczesną wiedzą medyczną. Sztukę przygotował reżysersko bardzo starannie Szyndler, a główne role odtwarzają Paszkowska, Podgórska, Dytrych, Górowski, Dzwonkowski, Szyndler, Lochman, Serwiński, Dowmunt i Winczewski. Równocześnie teatr bydgoski wznowił kilka komedyj granych z powodzeniem w ubiegłym sezonie.

Część zespołu **poznańskiej operetki** wyjechała obecnie na tournee po Wielkopolsce i Pomorzu, grając miłą i melodyjną operetkę **„Rose Marie“**. Wystawiona ona została z niezwykłym przepychem w Teatrze Wielkim w Poznaniu, otrzymała wspaniałą oprawę malarską Zygmunta Szpingiera, której jedynie fragmenty może oglądać publiczność mniejszych miasteczek.

Do Teatru Ziemi Pomorskiej w Toruniu zjechał na gościnne występy znakomity Junosza-Stępowski, biorąc udział w przedstawieniach doskonałej komedji „Azais“ i pogodnego **„Starego wina“**.

Teatr Nowy w Poznaniu gości w dalszym ciągu lubianego komika Władysława Waltera, który gra obecnie w komedji **Fijałkowskiego „Gorąca krew“**. Akcja tej komedji rozgrywa się w miejscowości Dobra Wola, ale jak słusznie zauważono, że strony widza trzeba naprawdę dobrej woli, ażeby uwierzył w istnienie w dzisiejszych czasach takiej idyllicznej atmosfery, takich sielskich i anielskich warunków bytu, jakich obraz daje komedja polskiego autora. We wsi tej bowiem nikt nie myśli o podatkach, o ratach, o komorniku, jedynie o tem, jakby się wyrwać do Warszawki na wesołą libację, albo zagranicę, do której eskapada wygląda na niewinną wycieczkę. Nie pozostaje więc nic innego poza zabawą, jak romans. Romansów tych jest w komedji kilka.

Komedyjkę tę zagrano w Poznaniu żywo i zabawnie. Kapitalny typ starzejącego się szlachcica daje Walter, a Koronkiewiczówna jest niezwykle ponętną wdówką na wydaniu. Świetnie rolę młodziutkiej Magdy gra Michalska, zapowiadający się duży talent, a w innych rolach zwłaszcza Koczanowicz i Kuryłło zasługują na wzmiankę.

Do Krakowa po gościnnych występach w Krynicy zjechała wileńska operetka, **teatr muzyczny „Lutnia“**. Przyjęta została gorąco przez krakowską publiczność, spragnioną melodyjnej, miłej zabawy. „Lutnia“ codziennie bombarduje publiczność premjami, które pozwalają ocenić warunki, talent, technikę i dojrzałość artystyczną poszczególnych solistów, sumienność pracy reżyserów i kierownictwa muzycznego, spoczywającego w rękach jubilata dyr. Aleksandra Wilińskiego. Wśród solistów posiada „Lutnia“ świetną artystkę Janinę Kulczycką, miłą i muzykalną S. Bestani, wodewilistkę w najlepszym stylu B. Halmirską, kapitalnego komika M. Tatrzańskiego, sympatycznego amanta K. Dembowskiego, W. Szczawińskiego, Wyrwicz - Wichrowskiego i innych. Dobrą parą baletową są M. Martówna i J. Ciesielski. Brak przepychu wystawy, licznych chórów i większego baletu okupuje wileńska „Lutnia“ prostotą i bezpretensjonalną bezpośredniością wykonania. **(b).**

POLSKIE PASY KONTUSZOWE.

Pasy kontuszowe rozpowszechniły się w Polsce najbardziej w wieku XVIII i były wówczas nieodłączną częścią stroju szlacheckiego, zarówno żupana, jak i kontusza.

Pas okręcany na kontuszu wiązano na węzeł sprzodu albo zboku i przewijano jego końce w różnorakie sposoby, zależnie od mody i od upodobania właściciela.

W XVIII wieku była w Polsce bogata produkcja pasów kontuszowych. Największą i najsłynniejszą była fabryka Radziwiłłowska w Słucku, która stworzyła pewien typ pasów, nazwanych od miejscowości pasami słuckiemi. Ponadto tkano pasy w różnych warsztatach większych i mniejszych na terenie całej Rzeczypospolitej jak np. w Krakowie (Chmielewski i Masłowski), we Lwowie (Markowicz), w Korcu (Selimand), w Różanej (Sapiehów), w Sokołowie, w Grodnie (Tyzenhauz), w Kobyłkach pod Warszawą (Paschalis), w Gdańsku (Besch) i w Szydlicach.

Pasy były początkowo jedwabne, później dopiero otrzymały przetykanie nicią srebrną i złoconą, by stać się srebrno czy złotolitemi. Ciekawym ornamentem i kapitalnym zespołem barw cieszyły oko, dając świetne połączenie wpływów wschodnich i zachodnich, stale krzyżujących się na terenie Rzeczypospolitej. Zależnie od upodobań właściciela, klienta, albo warsztatu, następowała przewaga tych lub innych elementów ornamentu i barwy.

Pasy przetykane nicią czarną były używane na uroczystości pogrzebowe, z przewagą bieli na uroczystości weselne, a pozatem dobierane odpowiednio do barw żupana i kontusza.

Dopasowanie do charakteru uroczystości lub koloru szat ułatwiało to, że świetna specjalna technika tkania pasów pozwalała przy użyciu dwóch osnów na otrzymywanie dwu stron. Stąd pasy dwustronne, a nawet t. zw. czterostronne, co przy podłużnem łamaniu pasa przed założeniem i zawiązaniem przy podwójnym wzorze z każdej strony, dawało cztery zmiany barwne. Gra barw była bardzo cenionym pierwiastkiem w dawnym ubiorze polskim.

Bogate zbiory pasów słuckich znajdują się w krakowskich muzeach. W Warszawie w Muzeum Narodowem przy Al. 3 Maja 13 otwarto ostatnio specjalną salę pasów kontuszowych, która jest otwarta we wtorki i czwartki od godz. 5-tej do 7-mej.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 9 sierpnia.

8.00 Audycja poranna.
9.00: Transmisja nabożeństwa.
10.30: Preludja — audycja z płyt.
12.03: „Wiedeń — miasto muzyki“ — koncert.
14.30: Audycja dla wsi.
17.00: Podwieczorek przy basenie w Ciechocinku.
19.00: Słuchowisko: „Mąż przeznaczenia“ Bernarda Shawa.
19.40: Koncert kameralny w wykonaniu Marji Wiłkomirskiej i Kazimierza Wiłkomirskiego.
21.00: „Wizja Babuni“ — stare melodje.
21.30: „Doboszowe Gody“ — audycja muzyczna.
22.00: Transmisje i wiadomości z XI Olimpjady w Berlinie, oraz feljeton p. t. „Olimpjada lekkoatletyczna zakończona“.
22.35: Duety wokalne, następnie muzyka taneczna.

Poniedziałek, 10 sierpnia.

6.30: Audycja poranna.
12.23: 1.000 taktów muzyki.
16.00: Koncert popularny.
16.45: „Nieznana harmonja obozów“ — pogadanka.
17.00: Pieśni odśpiewa Hanna Łosakiewicz-Molicka.
17.20: Muzyka kameralna z płyt.
17.50: „Na kaczki“ — pogadanka.
19.00: Audycja strzelecka.
19.30: Recital śpiewaczy Stanisława Drabika.
20.00: Utwory fortepianowe Franciszka Liszta.
21.00 Koncert orkiestry Marynarki Wojennej.
22.00: Transmisja i wiadomości z XI Olimpjady w Berlinie, oraz wywiady na temat: „Bokserzy, wioślarze, koszykarze i szermierze szykują się do startu“.
22.35: Utwory na viola d'amore.
23.00: Muzyka taneczna.

Wtorek, 11 sierpnia.

6.30: Audycja poranna.
12.23: Muzyka operowa.
16.00: Mała orkiestra P. R., Irena Carnero i A. Zabczyński.
16.45:, „Jan Zamoyski i bitwa pod Byczyną“ — odczyt.
17.00: Koncert orkiestry z Poznania.
18.00 Koncert rozrywkowy z Poznania.
19.00: „O piętro wyżej“ — operetka.
20.30: „Jak poznałem Nitsche'go“ — szkic literacki J. E. Skiwskiego.
21.00: Koncert orkiestry kameralnej i A. Katz (wiolonczela).
22.00 Transmisja i wiadomości z XI Olimpjady w Berlinie, oraz feljeton p. t. „Sensacje i ciekawostki olimpijskie“.
22.35: Muzyka taneczna.

Sroda, 12 sierpnia.

6.30: Audycja poranna.
12.23: Muzyka lekka z basenu w Ciechocinku.
16.15: Koncert solistów.
17.00: Koncert z poznańskiego Ogrodu Zoologicznego.
17.50: Anegdoty z życia Franciszka Smolki.
19.00: „Amerykański Week-end“, obrazek muzyczny.
20.00: Słynne symfonje.
21.00: V-ta audycja: „Utwory Fryderyka Chopina“ (płyty).
21.30: „Przy księżycu“ — piosenki i melodje nastrojowe.
22.00: Transmisje i wiadomości z XI Olimpjady w Berlinie.
22.35: Wiązanka przebojów.
23.00: Muzyka taneczna.

Czwartek, 13 sierpnia.

6.30: Audycja poranna.
12.23: Koncert południowy.
16.00 Koncert popularny z Ciechocinka.
16.40: „Ruch wojny“ — odczyt.
17.00: Recital Heleny Ottawowej
17.30: Sonata g-moll na skrzypce solowe — Bacha.
17.50: „Korespondencja z letniska“.
19.00: Premjera słuchowiskowa: „Podróż w inny świat“.
19.30: „Melodje hiszpańskie“ — koncert.
21.00: „Nasze pieśni“.
21.25: „Niedziela za drągiem“ — audycja muzyczna.
22.35: Muzyka taneczna.

Piątek, 15 sierpnia.

6.30: Audycja poranna.
12.23: Motywy hiszpańskie w muzyce francuskiej.
15.30: Transmisja z XI Olimpjady w Berlinie — finał jedynek wioślarskich z udziałem Vereya.
16.15: Mała Orkiestra pod dyr T. Rydera — z Łodzi.
17.15: „Pieśni rycerstwa polskiego“.
19.00: Mozaika muzyczna.
20.25: Transmisja z Salzburga trzeciego aktu op. „Śpiewacy Norymberscy“.
22.35: Transmisje i wiadomości z XI Olimpjady w Berlinie.
23.00: Muzyka taneczna.

Sobota, 15 sierpnia.

8.00 Audycja poranna.
10.05: Transmisja nabożeństwa.
12.03: Poranek muzyczny ze Lwowa.
14.30: Audycja dla rolników.
15.30: „Z błoń krakowskich w górskie hale“ — audycja muzyczna dla dzieci.
15.45: „Marsze pułków pomorskich“ — koncert.
16.25: „Szlakiem zwycięskiej piosenki“ — audycja ze Lwowa.
17.00: Koncert z Ogrodu Zoologicznego w Poznaniu.
18.15: Potpourri i wiązanki jazzowe.
19.00 Koncert orkiestry i solistów.
20.15: Audycja dla Polaków za granicą: „W dni sierpniowe“.
21.00: „W domu i w wojsku“ — koncert.
21.30: Dwa skecze: „Zmarnowana kula“ i „Tajemniczy supełek“.
22.35: Samo mazurki — koncert.
23.00 Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.